Nr. 121. Lwów — Sroda dnia 29 Maja. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h
w Niemczech . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
[illegible]
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
[illegible] DONIESIENIA PRYWATNE [illegible]

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy wiersz petitowy albo jego miejsce 4 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo . h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca.
Niefrankowanych listów nieprzyjmuje.

Dziś: św. Maksyma W. | Teodora
Jutro: Boże Ciało | Andronika
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o godz. 3 min. 38
Zachód „ „ 7 „ 6
Długość dnia godzin 15 min. 28
Przybyło dnia od wczoraj 1 min.

Zagranica o nowej Radzie państwa.

Wynikiem wyborów przedlitawskich zajmuje się nietylko prasa europejska, ale także wybitni politycy wypowiadają o nich swe zdanie, zastanawiając się przytem nad wpływem, jaki one mogą wywrzeć na stanowisko monarchii w koncercie mocarstw. Wszyscy bez wyjątku są przekonani, że demokratyzacya parlamentu wiedeńskiego zmniejszy jeszcze bardziej ten mały wpływ, jaki Rada państwa wywierała na sprawy zagraniczne. P. Leroy Beaulieu powiada, że kto we Francyi spodziewał się silnego w Austryi bloku słowiańskiego, który rozluźni trójprzymierze, ten się bardzo zawiódł, i to nie na jedną kadencyę, ale prawdopodobnie na lat wiele, gdyż ludność austryacka dowiodła wyborami, iż sprawy zagraniczne nic zgoła jej nie obchodzą. Tak samo sądzi znany francuski słowianofil Cheradame, który czyni następującą trafną uwagę: „Wybory austryackie pod jednym względem są nader ciekawe, jedyne pomiędzy powszechnymi: oto ani ministeryum, ani stronnictwa nie ogłosiły żadnego programu. Nie było tego, co Amerykanie nazywają „platformą wyborczą“. Nawet ministrowie w swych oświadczeniach kandydackich mówili prawie wyłącznie o widokach ugody z Węgrami, a nie o planach na przyszłość. Wyjątkiem od tej reguły jest tylko oświadczenie ministra skarbu, który jednak z natury rzeczy zajmował się przeważnie finansową stroną zagadnień. Ludności nie dano kierunku ani z góry, ani z dołu. Oczywiście kandydaci wygłosili dużo mów, napróżnoby jednak szukać w nich wzmianek o polityce zagranicznej. Możnaby sądzić, że ona nie istnieje dla ludności austryackiej, naprawdę jednak istnieje, ale nie może znaleźć ogólnego wyrazu, z powodu, że każdy z wielu narodów austryackich inne żywi pragnienia, albo przynajmniej sympatye. Pozostaje więc w całości zostawić tę dziedzinę doświadczonemu Cesarzowi — i to właśnie uczyniła ludność“.

Znany polityk niemiecki prof. Delbrück sądzi, że więcej jest powodów do zadowolenia z wyniku wyborów, niż do troski. Wprawdzie obniżył się umysłowy poziom parlamentu austryackiego, ale że tak będzie, o tem przecież chyba z góry wiedziano: wszakże wszędzie, gdzie są powszechne głosowania, utarł się już frazes, że do pracy parlamentarnej nie potrzeba wiedzy, wystarcza posłuszeństwo stronniczej komendzie. Prawda także, że za wiele mandatów dostało się socyalistom. Kiedy zanadto drożdży, ciasto do niczego. Lecz austryaccy socyaliści dotychczas nie atakowali państwa, ani jego politycznego ustroju. Przyszli oni na zmianę liberałów, którzy musieli upaść, ponieważ od lat wielu byli bezpłodni. Ich dawna myśl się przeżyła, a nowej nie wykrzesali. To samo o wiele wcześniej stało się w Niemczech, gdzie także silny wzrost socyalizmu trzeba uważać za następstwo wyjałowienia się liberalizmu. Podobieństwo austryackich stosunków do niemieckich jest jeszcze w tem, że w Przedlitawii tworzy się silne i żywotne stronnictwo katolickie. Niesłusznie nazywają je bądź klerykalnem, bądź ultramontańskiem. Ani jednem, ani drugiem katolicy nie są, bo ani o panowaniu duchowieństwa nie myślą, ani o pracowaniu dla Watykanu. Oni po prostu są chrześcijanami i patryotami, przytem zaś mieszczanami, a więc demokratami więcej niż chłopi. Lueger jest osobistością bardzo dzielną, silną i szczerą — szkoda, że mu zdrowie nie dopisuje. Jego stronnictwo z katolikami wszystkich krajów i Kołem polskiem stworzy większość, dość silną, aby zapobiedz wszelkim zbytecznym rozpędom, lecz o tyle słabą, iż się nie odważy na polityczną jednostronność. Zresztą ta jednostronność jest niemożliwa, bo większość ową złożą posłowie różnych narodowości. Prawdziwem szczęściem jest to, że zniknęła partya Schönerera. Ona tak dużo złego zrobiła swymi pangermańskimi wybrykami i wstrętnem hasłem „Los von Rom“! Nowi wszechniemcy, to w każdym razie nie schoenererowcy.

Angielski pisarz polityczny, Karol Dilke, wypowiedział takie zdanie: Podczas obrad nad reformą wyborczą przezwano socyalistów „cesarsko-królewskimi“ za to, że popierali projekt rządowy. Jestem przekonany, że te litery „c. k.“ zwiększyły ich popularność. Skoro oni mogą pracować z rządem, to dlaczegoż ich nie wybrać? Tak niezawodnie myślało bardzo wielu wyborców, zwłaszcza w Wiedniu. Czy socyaliści zachowają nazwę „c. k.“, czy też nie, o tem niepodobna mówić, w każdym jednak razie nie zaczepiali podczas agitacyi ani monarchicznej formy rządu, ani osoby panującego. Pod tym względem nie podobni oni do socyalistów niemieckich. Międzynarodowość socyalistów austryackich będzie wodą na rozpalone żelazo waśni narodowych w krajach przedlitawskich — i to jest ich stroną niewątpliwie dodatnią. Nie wyleczą oni Austryi z jej narodowościowych antagonizmów, ale je przytłumią, przez co — jak sądzę — wytworzy się większa stałość rządowego kierunku. Wieczne koncesye narodowe na prawo i na lewo były najsłabszą stroną gabinetów przedlitawskich od lat kilkunastu. Co do katolików, to najniesłuszniej nazywają ich klerykałami. Gdyby nimi byli, to bezwarunkowo nie mogliby się zlać z obozem chrześcijańsko-socyalnym. Ja nazywam katolików austryackich „młodokatolikami“ to znaczy ludźmi, którzy idą z duchem czasu i wszystkie jego wymagania umiejętnie dostrajają do religijnych zasad“.

Uważaliśmy za właściwe podać te zdania ludzi obcych, a więc bezstronnych. Mogą oni się mylić tylko z powodu niedość dokładnej znajomości stosunków austryackich. Ale jesteśmy tak przygnębieni wynikiem wyborów, że ich zdania sprawiają nam ulgę.

Zatarg węgiersko-chorwacki.

Gabinet p. Wekerlego postanowił przedstawić sejmowi nowy regulamin kolejowy, nie uwzględniwszy żądań chorwackich, aby zgodnie z rezolucyą fiumeńską, językiem urzędowym zarządów kolejowych w Chorwacyi był chorwacki. Zgodził się tylko, żeby urzędnicy kolejowi w Chorwacyi umieli po chorwacku i mogli tym językiem rozmawiać z publicznością. Prywatnie oświadczył p. Wekerle delegacyi chorwackiej, że język węgierski musi być urzędowym, jako wyraz jedności państwa; od tego w ustawie nie może być najmniejszego zboczenia, ale w praktyce, o ile tego wymaga wygoda publiczności, zrobione będzie wszystko, do czego mają Chorwaci prawo na mocy ugody z roku 1868-ego.

Tego oczywiście za mało delegacyi chorwackiej. Nic ona jeszcze nie postanowiła, ale jest wzburzona. Do tej irytacyi przyczynił się minister chorwacki w gabinecie peszteńskim p. Josipowicz, który w rozmowie z redaktorem *N. Pester Journal* powiedział, że delegacya umyślnie wysunęła kwestyę językową, aby mieć powód do przerzucenia się na stronę opozycyi. „Chodzi tu — rzekł on — nie o zasadę, lecz o taktykę, do której zdawna się przygotowywała chorwacka koalicya sejmowa, złożona z szowinistów i wszechchorwatów“. Delegacya wysłała do ministra kilku swoich członków z zapytaniem, czy on rzeczywiście tak się wyraził? Minister odpowiedział, że może słowa jego były nieco inne, ale myśl taka, a oddaje ona jego niewzruszone przekonanie. Więc oczywiście delegacya jest oburzona, w Zagrzebiu także zawrzano gniewem, ale minister nic sobie z tego nie robi, bo on nie jest rzecznikiem sejmu i delegacyi w łonie gabinetu węgierskiego, lecz wyłącznie zależy od węgierskiej sejmowej większości, a ona właśnie go pochwala za takie oświadczenie.

Tak powstał zatarg delegacyi z rządem i sejmem węgierskim. Jeden z zagrzebskich dzienników doniósł, że prezes tej delegacyi, były chorwacki minister p. Tomasicz zawołał: „Teraz stosowna chwila do rozwinięcia w Chorwacyi polityki austryackiej!“ P. Tomasicz ogłosił, że nic podobnego nie mówił, a jest przekonany, że Chorwacya, należąc do korony św. Szczepana, może prowadzić tylko politykę węgierską. Chorwackie dzienniki odpowiedziały mu na to, że szkoda, iż się Tomasicz wyparł „śmiałej i twórczej“ myśli, która niebawem obejmie cały kraj i da mu inną przyszłość. Z tego widać, że rozdrażnienie jest dość wielkie. Może ono wywołać demonstracye i nawet zamieszki, jak ten zatarg z Węgrami może doprowadzić do dymisyi bana i całego zarządu chorwackiego, albo do rozwiązania sejmu, w którym koalicyjna większość zadziera z Węgrami, ale żaden poważny polityk chorwacki nie zaleci swemu narodowi „polityki austryackiej“, pod którą tam się rozumie dążność do oderwania się od Węgier, a utworzenia wspólnie z Bośnią, Dalmacyą i Istryą osobnego organizmu politycznego, wielkiej Chorwacyi, jako trzeciego państwa w rzeszy rakuzkiej. Na wykonanie tej myśli zmarłego Starczewicza, którą popierał ś. p. biskup Strossmayer, albo już bardzo zapóźno, albo jeszcze ogromnie zawcześnie. Karta słowiańska na Węgrzech dziś nie istnieje. Sądzimy, że Chorwaci powinni szukać porozumienia z Madyarami, choćby nawet gorszego, niż się spodziewali, pisząc swą rezolucyę w Fiumie.

Dyktatura w Portugalii.

Nowy zapisujemy dowód, że radykalizm nadzwyczaj łatwo zmienia się na zawołanie w despotyzm. W Portugalii, w państwie, o którem zwykle się mówi, że jest republiką z królem na czele, rządziły kolejno dwa wielkie stronnictwa. Jedno się nazywa „progressistas“, a jest liberalnem, naśladującem angielskich whigów, — drugie „regeneradores“, to zaś wzoruje się na modłę angielskich torysów, bo w Portugalii wszystko koniecznie musiało być jak w Anglii. To jedno, to znowu drugie stronnictwo stawało u steru i rządziło dowolnie, a król panował, lecz nie rządził. Trwało tak do r. 1890, kiedy w wojsku wybuchły zamieszki z powodu nędzy, na jaką skazani byli żołnierze. Buntowników przykładnie ukarano, ale nie poprawiono położenia wojska. To wpłynęło na zorganizowanie się stronnictwa radykalnego, które po państwowem bankructwie i wstrzymaniu wypłaty kuponu w roku 1893-cim ogromnie się rozwinęło. W roku przeszłym prezes gabinetu Ribeira, naciskany przez radykałów, którzy zaczęli się popisywać republikańskimi dążnościami, zaproponował rozwiązać kortezy. Król na to się nie zgodził, więc Ribeira podał się do dymisyi, a król powołał do steru wodza radykałów Giovao Franca. Takie wyłamywanie się z tradycyi zgorszyło liberałów i konserwatystów, a z ogromną radością było przyjęte przez *vox populi*. Franc zaproponował koalicyę liberałom, oni jednak nie przystali, lecz złączywszy się z konserwatystami, stanęli w opozycyi. Franc nie mógł nawet stłumić republikańskiej propagandy, którą sam przedtem prowadził. Nie mógł nic zrobić, bo dwa historyczne stronnictwa we wszystkiem mu przeszkadzały. Niedawno przedstawił on kortezom duży projekt reform w duchu bardzo liberalnym i znowu zaprosił progresistów do spółki w gabinecie, oni jednak i tym razem odrzucili propozycyę i wspólnie z regenadorami zaczęli obstrukcyę. Wówczas Franc, nie odwołując się do rady koronnej, uzyskał od króla dekret rozwiązujący kortezy, przyczem — jak ustawa każe — nie ogłosił nowych wyborów. W ten sposób nastąpiło zawieszenie parlamentaryzmu. Sprawiło to zdumienie, które jednak trwało niedługo: pojawił się dekret królewski o tem, że opracowane przez ministeryum reformy będą zaprowadzone bez udziału kortezów, na mocy pełnomocnictw dyktatorskich, które otrzymał Franc. Natychmiast nałożono cenzurę i zniesiono wolność zgromadzeń. Korespondenci zapewniają, że Franc jest człowiekiem uczciwym i stalowego charakteru. Chce wytępić nadużycia i zaprowadzić ład w urzędach, ale zaczął akcyę bardzo niebezpieczną.

Korespondencye.

Wiedeń 27 maja.

(Zakończenie kongresu rolniczego. — Przyjęcie u Cesarza. — Bankiet pożegnalny. — Mowa Méline'a. — Sesya sejmu dolnoaustryackiego. — Rozdział miejsc w Izbie poselskiej. — Związek teatrów niemieckich wobec ustawy o ubezpieczeniu urzędników prywatnych).

(y). Wspaniałym bankietem w Kursalonie w parku miejskim zakończono szereg uroczystości urządzonych na cześć członków ósmego międzynarodowego kongresu rolniczego, którego powodzenie przeszło najśmielsze oczekiwania. Dzień przedtem podejmował ich Cesarz w Burgu, a bardzo dawno już nie był pałac cesarski widownią tak licznego i z przedstawicieli wszystkich narodów składającego się zebrania. W ciągu półtoragodzinnego *cercle'u* rozmawiał Monarcha z najwybitniejszymi przedstawicielami kongresu i w sposób ostentacyjny wyszczególniał senatora francuskiego Meline'a, którego dziełem jest to zbliżenie się rolników wszystkich krajów. Także na bankiecie pożegnalnym w Kursalonie urządzono Méline'owi gorącą owacyę, a hr. Kolowrat nazwał go ojcem wielkiej rodziny, łączącej w sobie rolników wszystkich narodów. W odpowiedzi na to wniósł Meline piękny toast, w którym wyraził życzenie, aby idea pokoju między narodami coraz bardziej torowała sobie drogę. Najskuteczniejszą zaś manifestacyą pokojową są kongresy. Specyalnie o kongresie rolniczym można powiedzieć, że może więcej przyczynił się do zbliżenia Niemców i Francuzów niż konferencya pokojowa w Hadze. Pokój między narodami jest możliwy, potrzeba tylko, ażeby wszystkie narody zjednoczyły się na gruncie gospodarczym. Sympatyczne echo wywołały także przemowy dwóch egzotycznych członków kongresu, a mianowicie Japończyka dra Seiroku-Honda, profesora nauk leśniczych w Tokio, który w niemieckiej przemowie dziękował za to, że mógł tak wiele nauczyć się na tem dostojnem zgromadzeniu i wyraził nadzieję, że może niebawem uczestnicy jego przybędą na kongres rolniczy i leśniczy do Tokio, tudzież mowa kierownika poselstwa chińskiego On-Tsongtiena, w której on sławił rolnictwo jako źródło dobrobytu wszystkich narodów.

Dziś rozpoczyna się nadzwyczajna sesya sejmu dolnoaustryackiego. W jakim celu właściwie zwołano ten jeden sejm, odgadnąć trudno, ogłoszony bowiem do tej pory przez Wydział krajowy program prac jego zawiera same drobiazgi, z których uchwaleniem bez uszczerbku dla sprawy publicznej można się było zatrzymać do jesieni — choćby i do wiosny. Oto np. najważniejsza ze wszystkich spraw, objętych znanym dotychczas programem prac sejmowych, jest zmiana kilku postanowień ustawy łowieckiej. A jednak widocznie sesya ta jest stronnictwu antysemickiemu koniecznie potrzebna, skoro potrafiło ono skłonić rząd do przedłożenia Cesarzowi do podpisu patentu zwołującego sejm dolnoaustryacki o tak niezwykłej porze i do tego niemal w przededniu zebrania się Rady państwa.

Kancelarya prezydyalna Izby poselskiej ma obecnie niemało pracy z „rozparcelowaniem“ ław poselskich w ten sposób, ażeby każde stronnictwo było zadowolone z przydzielonych mu miejsc, i aby mogło zajmować mniej więcej te same miejsca, jakie zajmowało w poprzedniej Izbie. Zadanie to niełatwe ze względu na to, że niektóre stronnictwa wyszły z ostatnich wyborów kilkakrotnie wzmocnione, inne natomiast zdziesiątkowane. Wedle dotychczasowych dyspozycyi Koło polskie otrzyma jak dawniej miejsca na ławach skrajnej prawicy, antysemici zaś na skrajnej lewicy. Ponieważ ci ostatni będą liczebnie prawie trzy razy tak silni jak w poprzedniej Izbie, przeto otrzymają więcej rzędów ławek. Tuż koło antysemitów wyznaczono miejsca członkom katolickiego centrum niemieckiego, a dalej ku środkowi niemieckiej partyi ludowej, partyi postępowej, niemieckim agraryuszom i wszechniemcom. W centrum Izby siedzieć będą socyaliści i Rusini. między socyalistami a wszechniemcami zarezerwowano miejsca dla Włochów. Z drugiej zaś strony przytykać będą do socyalistów ławy, wyznaczone dla Rumunów, młodoczechów, czeskich radykałów i agraryuszy, tudzież dla polskich ludowców. W ostatniej ławie na skrajnej prawicy zasiądą syoniści.

Onegdaj odbyło się tu zgromadzenie członków Związku scen niemieckich w Austryi celem powzięcia uchwały, jak mają artyści i dyrektorzy scen niemieckich zachować się wobec wchodzącego w życie z dniem 1 stycznia 1909 r. obowiązku należenia do instytutu pensyjnego, stworzonego zmianą ustawy o ubezpieczeniu urzędników prywatnych. Rząd bowiem orzekł, że obowiązkowi ubezpieczenia podlegają bezwarunkowo wszyscy występujący na scenie aktorzy i aktorki, śpiewacy i śpiewaczki, członkowie chórów, baletu i orkiestry. Owóż zgromadzenie uznało, że przystąpienie do państwowego instytutu pensyjnego nie przedstawia dla personalu teatrów żadnej korzyści, lecz należy stworzyć prywatny własny zakład pensyjny. Ażeby zaś dyrektorowie teatrów nie byli obowiązani płacić przypadających na nich w myśl ustawy dwóch trzecich premii asekuracyjnej za każdego ubezpieczonego członka, należy zaprowadzić osobny dodatek, wynoszący 4 halerze każdego biletu wstępu do teatru. W ten sposób koszta opłaty premij asekuracyjnych, przypadających na dyrekcye, przeniesie się na publiczność, artyści zaś płacić będą sami przypadającą na nich jedną trzecią część. Wedle uskutecznionych obliczeń będzie ten powstać mający prywatny zakład pensyjny z tych czterohalerzowych dodatków do biletów i z opłat artystów miał od 274.000 do 400.000 koron rocznego dochodu.

Dwa światy.

Hr. Adam Krasiński, wnuk Zygmunta, jest redaktorem wychodzącego w Warszawie miesięcznika *Biblioteka warszawska*. W ostatnich dwóch zeszytach tego pisma zamieścił bardzo rozumną rozprawę pod tytułem „Dwa światy,“ w której wykazuje analogie i różnice istniejące między narodem polskim a rosyjskim. Najgłówniejsze ustępy z tej rozprawy powtarzamy tu w całości. Szanowny autor pisze:

„Blizcyśmy sobie wzajem, a przecież tak niepodobni. Tam, gdzie obcej nie było przymieszki — a tyle fińskiej i wschodniej krwi w żyły rosyjskie się przelało — mamy prastare wspólne źródliska. Ale rzeki dziejowej bieg inny.

Zbliża i łączy nas miękkość jakaś przyrodzona — wyobraźnia, rozpłomieniona żarem, to jak mgła rozwiewna. Pożądanie jakieś rzeczy dalekich — tęsknota duszy. Niechęć przełamywania trudów, niechęć utrwalania kształtów. Stąd u nas ten smutek ludzi pragnących stałych podwalin. Łatwiej nam o bujną rozrzutność życia, niż o budowę. Nie krystalizujemy się, nie dążymy do formy w bryle, raczej miłujemy wizye, trudni dla wszelkiego skupienia, dla wszelkiej wytrwałości. Mamy serdeczność wielką, a niewiele dobrej woli dźwigającej — mamy szczerość, a mało prawdy. Cnotliwością bierną raczej, niż cnoty czynem jesteśmy. Aleśmy często zapałem, aleśmy nieraz zorzą świetlaną, poświęceniem, całopaleniem, aleśmy czasem cudem.

Tacyśmy — tacy i oni, ani to z ciosu rzymskiego, ani z germańskiej cegły — z drzewa lipowego jesteśmy o pachnącem kwieciu i liściach szumnych, z drzewa, które zrąbane śpiewa jeszcze, żali się i śmieje w gęślach.

Miękkie z nas plemię i poddawało się zawsze sile, która je ujarzmić potrafiła. Nas ujarzmiły nałogi, gdyśmy zdobyli wolność. Ujarzmiła lękliwość przed głośnem słowem i zamaszystym gestem — niewola popularności, Rosyę ujarzmił pierwiastek obcy, który narzucił się jej zwycięsko i stworzył rząd i władz-

---

19)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego *Karolina Dzieduszycka.*

(Ciąg dalszy).

W tym czasie klęska dotknęła Santo Fiore; ogień zniszczył kilka wieśniaczych domów i wiele rodzin w ostatniej nędzy się znalazło. Publiczne nieszczęście było hasłem dla towarzystwa dramatycznego, a w Santo Fiore można było policzyć klęski, w pewnym przeciągu czasu, wedle ilości wznowień sztuki „I due Sergenti“. Ten pożar w sam czas wypadł. Narobił dużo hałasu, pora była odpowiedną, można było liczyć na zapełnienie sali. Wiadomą rzeczą, że dyletanci, tak jak niegdyś starożytni Rzymianie, mierzyli powodzenie swoich widowisk, ilością ofiar.

Lalla nie wiedziała jeszcze wówczas, co to jest teatr i komedyanci, ale jej ciekawość obudzoną została łatwym entuzyazmem Pieriny i Neny, dwóch córek starego Ambrożego, z których jedna Nena, przyjętą została do usług panienki.

Już kilka razy Lalla prosiła matkę, aby jej pozwoliła być na przedstawieniu, a powtarzająca się odmowa, zamieniła jej ciekawość w gorące pragnienie. Ale nareszcie Marya pozwoliła wziąć jej udział w przedstawieniu na dochód biednych pogorzelców.

W wieczór przedstawienia, kiedy zbierała się, by pójść do teatrzyku, mówiąc z Neną, wyrwało się jej:

— Jakże jestem ciekawa zobaczyć dziś wieczór, co też Frascolini potrafi.

— E! z pewnością dołoży wszelkich możliwych starań, mając księżniczkę jako spektatorkę!... Zresztą wystarczy, kiedy piękna Oktawia mu się okaże.

— Co?...

— Alboż księżniczka nie wie, że Sandrino szaleje za żoną aptekarza.

— Za tą pretensyonalną babą?

— Pewnie że tak; porzucił przecież panią Weronikę, która ze złości chciała zginąć jak mysz.

— Ta poetka? — zapytała śmiejąc się Lalla.

— Tak jest. Z całą swoją nauką, tak się mu podchlebiała, że się do niej zapalił, i to z tym pyskiem! Chłopak był dla niej grzeczny, to się wie; pani Weronika jest żoną syndyka, co znaczy tyle, co jego przełożonego.

— A więc?

— Kiedy nareszcie zrozumiała, że wybraną była piękna Oktawia, jednej niedzieli, po mszy śpiewanej, zdaje się, że podczas nabożeństwa, zauważyła między obojgiem znaki porozumienia; zamknęła się w swoim pokoju, pozamykała okna i raz, dwa, połknęła całe pudełko zapałek.

— A to pięknie.

— Na szczęście pan Dominik, niewiadomo dlaczego, potrzebował pójść do swojego pokoju; idzie, zastaje drzwi zamknięte; puka... nikt nie odpowiada. Widział jak przed chwilą, żona jego do pokoju wchodziła, więc znowu puka... to samo milczenie. „Czy jest jej niedobrze“ — mówi do siebie poczciwy człowiek i po imieniu panią Weronikę woła, krzyczy, wrzeszczy... wszystko nadaremnie. Wtedy przerażony podważył ramionami drzwi i p a t a t r a k, wyrwał je z zawiasów: i cóż! Pan Dominik czuje ostry zapach, który go za gardło dusi i oddech zapiera; w pokoju było zupełnie ciemno, ale na łóżku widzi światło niebieskawe, szare, dymiące, trzęsące się, ruszające, które się w około rozchodzi. „Co to jest do dyabła?“ Pięścią okno otwiera.... i.... niech księżniczka zgadnie co? Niebieski płomyczek wychodził z ust Weroniki, która pełna była fosforu.... Ten osioł....

— Uważaj, Nena, to przecież twój syndyk.

— Przepraszam, ale nazywam rzeczy po imieniu. A więc ten osioł pan Dominik, kazał przynieść skopiec mleka i na wszystkie strony, wlewał je w swoją żonę!

— Ale Sandrino, jak się o tem dowiedział, co też powiedział?

— Cóż?... Musiał znosić obie: jedną z miłości, drugą z konieczności. On jest pełen serca, ten chłopak, i trzeba przyznać, że to bardzo piękny mężczyzna, ma takie ciało białe, pulchne, jak chleb z masłem! Niech panienka posłucha, nie dla tego, aby to mówić, ale naprawdę, ażeby takiego drugiego znaleść, trzeba całe Włochy i pół Lombardyi przeszukać.

Ale Lalla spoważniała i nawet gadania Neny nie potrafiły jej rozweselić. Główka jej błąkała się, błąkała bardzo daleko i po raz pierwszy patrzyła na Sandrina, jako na zdobywcę. Ta historyjka o otruciu i zazdrości, dodawała skrzydeł nowym myślom dziewczęcia i powoli, powoli, skromny syn sekretarza gminnego, przeistaczał się w małego bohatera romansu.

Kiedy Lalla weszła do teatrzyku przyjaciół sztuki dramatycznej, wzrok jej zaraz szukał Weroniki i pięknej Oktawii i zamiast uważać na dramat, który się na scenie rozwijał, cały wieczór zaabsorbowaną była tamtą komedyą, zaledwie zarysowaną, ale którą fantazya jej dopełniała, składającą się z trzech osób: Sandrina, Weroniki i Oktawii. A Lalla siedziała w doskonałem miejscu, by całą tę komedyę widzieć. Dyrektorowie przedstawienia, dali jej fotel syndyka, postawiony umyślnie dla niej, na środku sali. Z jednej strony, obok niej, stało krzesło próżne, z drugiej strony siedziała miss Dill, która co chwilę odwracała głowę ku drzwiom, w których stał don Vincenzo, bardziej lśniący i czerwony, niż zwykle, z piuską na bakier, żartował z brygadyerem od karabinierów i wbrew przepisom, palił cygaro. Ale w scenach wzruszających dramatu, które absorbowały całą publiczność, wsuwał się powoli w tłum, a doszedłszy do pierwszych miejsc, trącał łokciem miss Dill, podając jej otwartą tabakierkę. Miss Dill patrzała na niego pożądliwem okiem, wyciągała dwa palce, które zabłądziwszy na ręce księdza, zagłębiały się w tabakierce.

Ale księżniczka nie miała czasu zważać na te czułości, zajętą będąc kochankami Frascoliniego, które siedziały naprzeciw siebie na dwóch przeciwnych stronach parteru. Weronika czarno ubrana, miała we włosach charakterystyczny bukiecik osób sentymentalnych: niezapominaj mnie, — który nazywała: *Ferghit menichts.*

W całości, pani Weronika, wielce przypominała św. Ludwika z kaplicy bratorio, który miał dużą, drewnianą głowę i dwie deszczułki, na krzyż złożone, przykryte czarną tuniką.

Nierozłącznie z nią, tak jak bukiecik niezapominajek, w wieczorach przedstawień teatralnych, było z nią libretto sztuki *I due sergenti*, które w rękach trzymała, a nader tkliwa, w chwilach czułych dramatu, żółtawa kropelka pod nosem jej drżała... Była to łza, którą Weronika strząsała na książkę szybkiem spuszczeniem głowy.

Nieraz, między innymi, owa łza ukradkiem wylana, *una furtiva lagrima* była spostrzeganą przez piękną Oktawię, która złośliwie się wyśmiewając, szukała jej przyczyny, w jakiejś fistule. Zresztą Oktawia, rzeczywiście piękna, blondynka, czuła więcej pogardy, aniżeli nienawiści dla rywalki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

two: Waregowie, Horda, książęta, którzy poddanych swoich wzięli w obrożę — mocarze, dzierżący w dłoniach ziemię całą — życia i śmierci panowie, panowie wszystkiego co kwitło i krzewiło się na ziemi. Stąd rząd i naczelny rządu wyobraziciel — samowładzca, miał wszystkie prawa i zagarniał wszystkie moce. Trwało to wieki, do dni dzisiejszych i sprawiło, że dusza rosyjska, bliska przyrodzeniem polskiej, rozwinęła się przecież zgoła odmiennie i zgoła inaczej. Różnimy się przedewszystkiem wykształceniem poczucia prawa. Myśmy wyrośli na *własnej woli* — Rosya na *posłuszeństwie.*

Nasze słowiańskie wrażliwe usposobienie poddaliśmy jedni rzymskiemu duchowi, drudzy zasadzie zaczerpniętej z Byzancyum. To też i w cnotach i w niecnotach naszych widnieje ta różnica.

U nas, gdy się rodziła anarchia, była samowolą trybunów, którzy prawują się *per fas et nefas*, aby postawić na swojem. Ale czy w konfederacyi, czy w rokoszu, a nawet w zajeździe i swawoli jednostek, jest moment „sprawy“ jest parodoksalna obrona kodeksu, jest — choć najwykrętniej pojęta — *walka o prawną racyę.*

A w rosyjskiej duszy protest nie zwraca się przeciwko *argumentom* prawa, ale przeciwko samej zasadzie, obala wszelkie podporządkowanie się, granice i miary. To nie sejmikująca buta, nie *Veto* pieniackie, ale to daleko dalej sięgająca negacya — to burzycielskie uczucie, które nie zna szranków, a które wyrosło z wieków ucisku i poniżenia. U nas rozrodziła się anarchia z tej buty niesfornej — ze *swawoli* — w Rosyi rodzi się z niezmiernej *niewoli*, z wiekowego milczenia, z okrutnej goryczy.

I tem jest gorszą, że naszą dawną porównaćby można do choroby, która na zewnątrz jawnie uderza — tę zaś do utajonej, tłumionej a wgryzającej się w głębie. Oto nihilizm rosyjski.

Różnimy się kształceniem przekonań, *woli* i *niewoli* tradycyą. Stąd zaś cywilizacyą. Tej bowiem z woli człowieka początek. U nas wyswobodził się człowiek z pod jarzma, z przygnębiającego niewolnictwa ślepej karności — wcześnie, zanadto może wcześnie. Mówimy o ludzie szlacheckim, ale ten stan i ta wielka rzesza była prawie do końca ośmnastego wieku całym polskim narodem w politycznem i kulturalnem znaczeniu.

W czasie, gdy powstawało silne moskiewskie państwo, a Iwan III zaprzestał płacić daninę Złotej Hordzie i zagarniał pod władzę swoją rzeczpospolitą Nowogrodu i mniejsze wschodnio-ruskie dzierżawy — u nas zdobywało już rycerstwo zasadnicze prawa swobody. Na Cerekwickim zjeździe zobowiązywał się król nie ogłaszać wyprawy wojennej, ani praw nowych bez wiedzy Stanów, a drugi po nim z kolei Jagiellończyk przyrzekł za siebie i za następców swoich ustawą *Nihil novi*, że nie przedsięweźmie niczego, ani podatków nie nałoży bez zgody wyraźnej posłów ziemskich i senatu na Sejmie walnym.

Było to w roku 1505. Przyrzeczenie takie zdobywa Rosya w 1905, gdyż nie można tu powoływać się na dawne ziemskie sobory, które zbierały się tylko dla wysłuchania woli monarszej.

Lata zachodzącego piętnastego stulecia dały Rosyi wyswobodzenie się z pod jarzma Mongołów — Polsce przełamanie zasady samowładczej, i uświęcenie współpracownictwa narodu w rządzie: dały nam konstytucyę.

Stąd głęboka różnica wpływów, którym byliśmy podlegli. Nie przechodzą dzieje daremnie, ani nie giną w przepaściach wieki.

Dla politycznej siły państwa polskiego przełom był stanowczo za wczesnym. To, co na zwartem terytoryum wyspy Brytańskiej możliwem i szczęśliwem było, nosiło na rozłożystej ziemicy polskiej zaród wielkiego niebezpieństwa. Nie ustaliło sobie jeszcze państwo silnej, bronnej granicy, nie poszło wyraźnie ku zachodniej stronie i północnemu morzu, ani też odwracając się od tego zadania nie uderzyło na wschód taranem, nie skupiło się, nie nabrało sprawności — słowem, nie stanęło mocnym rządem, a już zdobywszy wolność szeroką, rozprzęgać poczynaliśmy się i rozluźniać. Nęciły nas kresy Podola i Ukrainy, szliśmy ku stepom urodzajnym, szumiącym swobodą, oddalając się od kluczowej pozycyi nad Wisłą, od króla.

Dla nas szczęśliwszym losem stałoby się panowanie monarchów rozumną mocą, trwanie ustroju Zygmuntowskich czasów, Batorego nie przejściowe rządy. Władza taka byłaby nas zespoliła widomą jednością celu, stałością urządzeń państwowych i siłą powodzenia. Na szerokiej ziemi wolność zbyt młoda wykarmiła pragnienie nieograniczonej woli jednostki, odrywając od skupienia sił. Solidarność żyła tylko w strzeżeniu „źrenicy prawa“ *złotej wolności.* W państwowem i politycznem znaczeniu nie było jej w narodzie. Dlatego upadł naród ten, jako państwo.

Ale te błędy nie powstały dlatego, że wolność na ziemi polskiej zakwitła, lecz że ziściła się może przedwcześnie i że jej służyć nie umieliśmy. Nie lekką jest bowiem, ani łatwą służba swobody i prawda to, co powiada Rousseau, że wolność to trudny do przetrawienia pokarm. Aby ją znieść bez szkody, trzeba zaprawy obywatelskiej cnoty. Rzymianin nazywał *virtus* tę siłę broniącą, a *virtus* — to męski hart i męskie poczucie odpowiedzialności i obowiązku. Gdy ginie ślepe posłuszeństwo — niemowlęca forma państwowego i społecznego ładu — budowa oprzeć się musi na cnocie publicznej, na zrozumieniu obowiązków — inaczej wszystko grąży się w upadek.

Politycznie, jako budowa, nieumocnieni upadliśmy, zdobywając się w chwili zgonu na czyn Trzeciego Maja, czyn piękny, ale zapóźny. Państwo nasze pogrzebaliśmy sami. Zniszczyła je przemoc sąsiadów, lecz że mogła zniszczyć — winą naszą — którzyśmy byli nie drobnem w dziejach zjawiskiem, ani nielicznym ludem, ani ubogą niewydajną ziemią.

Ale przeto, że nie wykształciliśmy *państwa*, nie powie nikt, że nie wykształciliśmy *człowieka.* Nie przejął się naród nasz poczuciem obowiązku do tej miary, jaką był powinien mieć w sobie, aby własną słabość przezwyciężyć, miał atoli ludzi i żywił charaktery. Swoboda musi zawsze rozwijać ducha — i u nas, że mieliśmy swobodę, zbudziło się wcześnie w społeczeństwie uczucie godności ludzkiej. Nieraz wybujałe i nierzetelne wobec obowiązku, nieraz niebacznie zrosłe silniej z miłością własną, niżeli ze służbą publicznemu dobru; często w dążeniu odśrodkowe, ale żywe i czujne, a w szlachetniejszych naturach przepiękne, może dlatego, że targała Rzeczpospolitą prywata, że nie dojrzała Polska do przejęcia się wspólnym obowiązkiem i dokonania tego, czego przykłady w dziejach dał Rzym, czemu świadczyły Niderlandy za wielkiego Orańczyka i Anglia za Elżbiety, może dlatego, że podporządkować się wybawczej zasadzie i wybawczym ludziom nie umiały nasze narodowe rzesze, byli u nas niesłychanie piękni i duchem wysocy synowie ojczyzny. Byli ci, co mimo swoj braci dla Polski pracowali. Dlatego, że wokół tyle pracy niepodjętej, tyle poniechanego i lekceważonego trudu z obowiązku — paliły się ich myśli żarliwe, gorzały dusze ofiarne, niestrudzone pracowały dłonie. I może w żadnym narodzie niema tylu tak czystych bohaterów, którzy „ani z soli, ani z roli wyrośli“.

Mamy na kartach naszej historyi dzieje poświęceń na pokolenia świecące. Mamy dzieje godności i dostojności ludzkiej w czynach bohaterskiego sumienia. I to jest dla nas najpiękniejszą i najwyższą Polską. Ludzie ci są szczytną prawdą narodu, czy karcili nas, jak Skarga słowem, słowem wieszczem, czy oglądali gasnącym wzrokiem — oczyma śmierci — jak Czarniecki późną wdzięczność swoich, czy jak Zamoyski Andrzej widzieli myśl swą rzuconą na stos płonących ksiąg prawa. Z nich i od nich i przez nich rosła polska dusza i krystalizowała się szlachetnie. I dusza ta coraz to bardziej czuła się winną Ojczyźnie i w najcięższej godzinie politycznego upadku poczyna coraz to żywiej krzepić się i coraz więcej rozrastać, dzielnym czynem rozwijać moc swoją, przykład dając nowy. W Stanisławowskich czasach święci się ten rozrost, a od Kościuszki, Staszica, od Napoleończyków promienieje i daje w Mickiewiczowskiem pokoleniu ogromny plon, skarbnicę i zapewnienie odrodzenia polskiego — daje wielkość, „świecącą w długie narodowe noce“.

Z niej i włościanin, który dziś dźwiga Polskę i robotnik, który jej serce i dłonie przynosi. Z niej ta krystalizacya sumienia, która, choć szerokich nie obejmowała zastępów, dawała przecież moc istotną narodowi. Ona to naszą cywilizacyę stworzyła. Poczuliśmy, że własnym trudem i czynem trzeba lepsze jutro zdobywać, nie oglądając się na pomoc i opiekę.

Najszlachetniejsi dawali pracę i walkę za kraj, za wyższe dobro, za wiarę.

Tak służył prawdzie Żółkiewski. Mniej wysocy a bardziej wyniośli, działali za kraj i za siebie — tak Wiśniowiecki; inni sobie tylko świadczyli, ale pracą własną, dziełem własnem. Tem poleganiem na sobie, szczepieniem przez pracę korzyści własnej i korzyści wspólnej, stwarzali w narodzie polskim siłę obronną i cywilizacyjną zarazem, która go po rozbiciu państwowem uchroniła od zagłady. Stwarzali wewnętrzny porządek w szeregach społeczeństwa.

To nam dała obok darów, nieraz zatrutych „złota wolność“. Rosyanie, którzy wolności tej nie kosztowali, a państwowo posiedli szczęśliwy los mocarzy, są dotąd, jak więźniowie, światła i powietrza łaknący. Jeżeli dla nas w dziejach zbyt wcześnie ziściła się wolność, to dla nich, zaiste, zbyt późno nastaje. Nie masz w życiu daremnej niedoli, a ich niedola długo, bardzo długo trwała, oni innej nietylko pamiętać, ale ani wspominać nie mogą godziny.

Dlatego wszystko co u nich „swobodnem“ być chciało, było jednym protestem, jedną wielką skargą przeciwko uciskowi, który trwał bez końca. Wszyscy pisarze ich, wszyscy myśliciele rodzili się z tej jednej myśli, z piętnem przeczenia na czole, i w tem jednem wychowywali uczuciu. Protest i skarga, oburzeniem gwałtowna, albo skarga cicha i smutna, gorzkie, bolesne przeświadczenie, że wysiłek wszelki próżnym jest przeciw sile przemożnej, że wolno, i trzeba jedynie cierpieć. Gniew, szał i cierpienie — oto najgłębsza treść ich myśli swobodnej, gniew buntu i cisza omdlenia — choroba ducha. A na słowiańskiej naturze, która przyjmiła się do uczuć, a ucieka przed postanowieniem; którą, aby obfitowała w owoc, uprawić trzeba i pracą w czynie utrwalić, na naturze tej niedola rosyjska przyszła utrwalić niemoc. Gdyż niemocą porównie jest rozpaczliwy odruch, jak i bezwładność cicha. U tych zaś, którzy nie złorzeczyli życiu, była straszniejsza jeszcze od niemocy — jałowość i skrzepłość sumienia. I straszna martwica ducha.

Nie możemy nawet winić społeczeństwa, mówimy tu o nieodpartej konieczności. Siła ducha nie rośnie w ucisku i bierności, a kłamstwo jest bronią Helotów. Wszak i u nas po latach rządów rosyjskich w kraju, ze smutkiem widzimy, jak krzewi się bujnie i jak powszechnieje. Tam, gdzie przed innem przykazaniem uczono zważać na to, co powiedzą u góry i zdanie swoje do głosu rozkazującego stosować, wyplenioną być musiała prawda. Uczył się i zaprawiał umysł naginać do tej woli, wyrozumieć ją i przejąć się tak, aby się wydawała własną, lub przeciwnie, przeczyć jej zawsze i wszędzie, dlatego jedynie, że narzucona, aż nie potrafił już w sobie stworzyć jasnej myśli, ale jeno odblaskiem był niewolniczej uległości, lub niewolniczej nienawiści.

Jako księżyce stali się ludzie, obce światło biorący.

To zwyrodnienie woli, to piętno kłamstwa, jest nieszczęściem Rosyi. Rząd samowładczy stworzył państwo ogromne jako granice ziemi, a mało zaiste, jako moc sumienia. Ludzi w tej ojczyźnie nie było, dlatego nie mają ojczyzny.

Bo Ojczyzna — to Ojcowie. Ale ojcowie, którzy szczęście dzieci ukochali.

Nie było żadnych społecznych sił, któreby stanowiły dźwignię ku wolności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ruch wyborczy.

Socyaliści napadli w Chrzanowie na kilku mieszczan, którzy nie głosowali na kandydata socyalistycznego Kurowskiego i pobili ich tak silnie, że jednego musiano nawet odwieźć do szpitalu. Z tego powodu miejscowy komitet wyborczy wysłał depeszę do prezydenta ministrów bar. Becka, prosząc go o pomoc przeciw awanturnikom. Że tak postępują syoniści, Rusini i socyaliści — to jest koniec końców rzeczą zrozumiałą. Ale, żeby komitet, utworzony z Polaków udawał się do Wiednia ze skargą, na innych obywateli tego kraju, a nie do namiestnictwa, a więc naczelnej tego kraju władzy, to wydaje się nam i niewłaściwem i niepraktycznem. Niewłaściwem, bo przecież rozsądniej jest i uczciwiej w sporze między współobywatelami wzywać o pomoc miejscową władzę, a więc namiestnictwo lwowskie, a nie szukać pomocy w Wiedniu. A niepraktycznem z bardzo prostego powodu: Oto prezydent ministrów nie ma bezpośrednich stosunków ze starostwami w Galicyi i z galicyjskiemi posterunkami żandarmeryi. Jeżeli chce im wydać jakieś polecenie, to musi najpierw udać się do namiestnictwa galicyjskiego, a ono dopiero polecenie to im wydaje.

Mieliśmy tymi dniami sposobność przekonać się, jaki rezultat jest z udawania się do Wiednia. Oto w pewnem miasteczku we wschodniej Galicyi pokłócili się chrześcijanie z żydami i wódz syonistów miejscowych wysłał depeszę po niemiecku do prezydenta ministrów. W innem zaś miasteczku, tego samego dnia z powodu takiejże sprzeczki z żydami, wysłał miejscowy rabin depeszę do namiestnictwa lwowskiego. Na skutek depeszy rabina tego samego jeszcze dnia przybył urzędnik starostwa z żandarmami do owego miasteczka. Depesza zaś syonisty, wysłana do Wiednia, wywołała rezultat dopiero po trzech dniach, a to z tego prostego powodu, że w Wiedniu trzeba było wygotować na jej tle akt odpowiedni i ten akt wysłać pocztą do namiestnictwa lwowskiego, skąd dopiero wyszło zarządzenie, mające na celu uczynienie zadość prośbie zawartej w depeszy.

* * *

Na posiedzeniu Komitetu wyborczego okręgu nr. 59 (Stanisławów, Halicz, Tłumacz, Tyśmienica, Bohorodczany, Obertyn, Potok Złoty) uchwalono jednogłośnie następującą rezolucyę:

Kiedy Ojczyzna nasza przeżywa chwile najcięższej walki, kiedy nieszczęsny naród zwraca i do Was Przezacni Mężowie swoje nadzieje, jak do jasnych gwiazd na chmurnym horyzoncie — oto człowiek, który chce podszyć się pod miano syna tej biczowanej Polski, usiłuje rozszerzyć i pogłębić przepaść, jaką nam gotują najzajadlejsi wrogowie z swoimi pachołkami. — Wszystko, co sercu polskiemu święte, co mu sił dodać może, stara się to zwyrodniałe indywiduum jadem swego ducha bezkarnie splugawić, spotwarzyć, zaciemnić, by nam nic nie pozostało, prócz rozpaczy i oddania się pod przewodnictwo jemu podobnych podłych dusz.

Miara cierpliwości powinna się już dopełnić choćby w najbardziej skrzepłych polskich sercach.

Sąd winien być bliskim.

Wam Przezacni polscy Arcykapłani, Wierni Synowie Ojczyzny, co świecicie przykładem pracy i poświęcenia, zasyłamy wyrazy najwyższej czci i hołdu.

Oszczercy, burzycielowi lepszej przyszłości Ojczyzny naszej Ernestowi Breiterowi, redaktorowi *Monitora*, jak jego wspólnikom, najwyższą pogardę.

Oby Bóg zlitował się nad naszą krainą.

Za komitet wyborczy okręgu Nr. 59:
Adolf Cieński, Szeliński, Stanisław Bohdanowicz, Władysław Dzieduszycki, Stanisław Pieniążek, Roman Chlebowski, X. Samuel Manugiewicz, X. Jan Eiselt, Jan Bauman, Tadeusz Hoszowski, dr. Ludwik Wiśniewski, Wiktor Holzelhuber, Adam Rylski, Stanisław Cieński, Eustachy Bukowski.

* * *

Otrzymujemy następujące pismo:

Chociaż okręg nr. 57 (Stryj - Skole-Medenice-Żydaczów - Mikołajów - Bobrka - Chodorów-Gliniany), ma tylko taki procent ludności polskiej, iż nie mogłaby ona wybrać własnego posła, to jednak w przeświadczeniu, że szerzona dzisiaj nienawiść ludności ruskiej do polskiej jest tylko dziełem niesumiennych agitatorów ruskich, zgłosiłem moją kandydaturę, aby wykazać, że możliwy jest wybór Polaka i przez ruską ludność. Stwierdziło słuszność tego zapatrywania pierwsze i drugie głosowanie, bo otrzymałem głosów przy pierwszem 8112, przy drugiem 7840, (było mniej głosujących), w czem był duży procent głosów ruskich wyborców.

Gdy wszakże agitatorzy tak ukraińscy, jak i moskalofilscy podniecają nienawiści partyjne i narodowościowe do tego stopnia, że zachodzi poważna obawa dalszych jeszcze krwawych rozruchów, na czem by moi zwolennicy ucierpieć mogli, a dalsze moje kandydowanie mogłoby narazić ludność polską jak i ruską, chcącą zgodnego z Polakami pożycia, narażać na starcia, których pamięć uniemożliwiałaby na długie lata zgodne współżycie, zatem w interesie dobra publicznego całego kraju, cofam moją kandydaturę, dziękując wszystkim moim Panom wyborcom za oddanie mi swych głosów. Pracy w duchu mych ideałów nie zaprzestanę. *Fryderyk hr. Skarbek.*

* * *

Czcigodny prezes Koła polskiego p. Dawid Abrahamowicz dostąpił w czasach powszechnego głosowania niesłychanie rzadkiego zaszczytu, iż go wybrano w dwóch okręgach, mianowicie w okręgu 64 wiejskim Lwowa i w okręgu 34-tym (Bóbrka-Rozdół-Burszyn etc.). Oczywiście jeden z tych mandatów musi złożyć. Doniesienia jednak dzienników, że już jeden z nich złożył, są nieprawdziwe. Prawdopodobnem jest, że zatrzyma okręg 34, a złoży mandat z okręgu 64, gdzie wystąpi jako kandydat wójt Maślanka, zwolennik solidarności Koła polskiego.

* * *

Dzisiaj odbywają się wybory ściślejsze w sześciu okręgach, mianowicie w okręgu 25 (Sanok-Dobromil-Krosno) między centrowcem Tenczarem a ludowcem Harnkiem. W okręgu 67 (Jarosław - Radymno - Lubaczów etc.) między d-rem Włodzimierzem Kozłowskim, d-rem Stachurą, Ukraińcem, i d-rem Hryniewieckim, moskalofilem. W okręgu 63 (Złoczów-Kamionka) między Kazimierzem Obertyńskim (kons.), Hlibowickim (starorusinem) i x. Zielskim (Ukraińcem). W okręgu 68 (Kozowa-Tarnopol-Zbaraż) między Ostapczukiem (soc. ruskim), Zamorskim (Rada narod.) a Hołubowiczem (moskalofilem). W okręgu 48 (Nowy Sącz-Stary Sącz) między Stan. Potoczkiem (centr.), Ciągłą (lud.) a x. Hnatyszakiem (starorus.). I wreszcie w okręgu 55 (Wojniłów-Dolina-Rożniatów-Kałusz) między Trylowskim (rad. rusk.), Romańczukiem (Ukraińcem) i Zipserem (kand. polskim).

* *

Nowi posłowie według stronnictw.

Wybrani dotychczas w Galicyi posłowie dzielą się na następujące stronnictwa:

12 ludowców: Bojko, Bomba, Jachowicz, Krempa, Madej, Mleczko, Olszewski, Paduch, Siwulą, Średniawski, Staniszewski, Stapiński.

9 konserwatystów: Abrahamowicz, dr. Biliński, dr. Bobrzyński, hr. W. Dzieduszycki, dr. Korytowski, ks. Andrzej Lubomirski, Moysa, dr. Starzyński, Zagórski.

8 wszechpolaków: dr. Biały, dr. Buzek, Fiedler, dr. Głąbiński, dr. Gold, Jabłoński, dr. Tomaszewski, Wiącek.

7 centrowców: Dobija, X. Kopyciński, Łuszczkiewicz, X. Męski, X. Pastor, Szajer, X. Żyguliński.

6 demokratów: dr. Dietzius, dr. Kolischer, dr. Loewenstein, dr. Małachowski, dr. Staniszowski, Zieleniewski.

3 demokratów skoncentrowanych: dr. Petelenz, dr. Sikorski, Stwiertnia.

3 socyalistów: dr. Diamand, Hudec, dr. Lieberman.

1 radykał socyalista: Breiter.

2 syonistów: dr. Gabel, dr. Mahler.

1 żyd niezawisły: dr. Gross.

8 ukraińców: Budzynowski, X. Folis, dr. Kołessa, dr. Ochrymowicz, dr. Okuniewski, X. Onyszkiewicz, Petrycki, X. Wojnarowski.

1 moskalofil: Kuryłowicz.

1 ruski radykał: dr. Trylowski.

Razem 51 Polaków, 10 Rusinów, 1 Niemiec-żyd syonista i 1 polski żyd syonista.

Wypadki w Rosyi.

Łódź. Zdołano już wykryć morderców dyrektora Rosenthala, dzięki temu, że właściciele fabryki Braci Poznańskich, której dyrektorem był właśnie zabity Rosenthal, wyznaczyli sowitą nagrodę za wskazanie morderców. Okazało się, że są to dwaj najlichsi robotnicy tej fabryki: Tyc i Koperski, wydaleni z niej za socyalistyczne agitacye i złe prowadzenie się. Należeli oni do liczby tych 98 robotników, których nie chciały przyjąć fabryki, należące swojego czasu do lokautu. Śledztwo jest na tropie, że ci dwaj zbrodniarze mieli jeszcze innych wspólników, którzy im pomagali w wykonaniu zbrodni. Komitety wszystkich trzech partyj socyalistycznych, to jest polskiej partyi socyalistycznej (P. P. S.), socyalnej demokracyi (S. D.) czyli esdeki i Bundu, ogłosiły plakatami, że nie brały żadnego udziału w zamordowaniu Rosenthala, i że stało się to bez ich wiedzy i woli.

Warszawa. Pewne zaniepokojenie w sferach ziemiańskich wywołał fakt, że rząd nakazał władzom miejscowym w Królestwie Polskiem przedłożyć dokładny spis, ile który z obywateli ziemskich posiada ziemi i czy sam gospodarzy, czy też wydzierżawia. Zwłaszcza ci, którzy wydzierżawiają swe dobra, a mieszkają stale bądź w Warszawie, bądź za granicą, są mocno zaniepokojeni temi dochodzeniami władz administracyjnych.

Helsingfors. Przybyłych tu delegatów Koła polskiego Dembińskiego i Nackiego, wysłanych na powitanie Sejmu finlandzkiego, powitano bardzo uroczyście.

Warszawa. Onegdaj w nocy pomiędzy sześciu mężczyznami, idącymi Alejami Ujazdowskiemi, powstała sprzeczka, wskutek której wydobyli rewolwery i poczęli do siebie nawzajem strzelać. Dwóch z nich padło trupem.

Mały feljeton.

* *

W śnie zagrało bajką złotą
Poprzez łąk marzenia zielne...
Jak kielichy te kadzielne
Dyszą wonią i tęsknotą!

Jak kielichy te liliowe
Z bzowych chwieją się gałęzi!
Pozłocisty blask je więzi,
Blask zaklęty w życie nowe.

W stawie cuda!... w dno przeźroczo
Słońce proch przesiewa miałki...
Biorą światła na warkocze
Wychylone z fal rusałki.

Poprzez baszcze i sitowia
Od uroczych czar się mota,
Z zielonego drżY listowia
Czarodziejska bajka złota.

— — — — — — —

Zakwitła nocą jabłoń we wiosennym sadzie,
Zapłoniona i cudna, jak młoda dziewczyna.
Jasne słońce miłośnie na niej złoto kładzie,
Wiatr poranny różowe gałązki przegina.

Kwiat jabłoni, jakby go poruszał kto ręką,
Drży w przeczuciu gorącej, słonecznej miłości.
W pachnącego poranku błękitnej jasności
Sad się zaśmiał wiosenną, młodzieńczą piosenką.

Słonecznego to czaru i szczęścia godzina!
Barwą krasy dziewczęcej majowy sad płonie — —
...W noc pachnącą, wiosenną marzyła dziewczyna,
Że zakwitły jej w sadzie różowe jabłonie...

Jan Pietrzycki.

KRONIKA.

Lwów 28 maja.

Prezentę na rzym. kat. probostwo w miasteczku Touste, powiatu skałackiego, opróżnione przez śmierć dotychczasowego proboszcza x. Filipa Chorzemskiego, otrzymał za instancyą miejscowych parafian były wikary tamże x. Ferdynand Stec, ekspozyt w Żydatyczach.

Bandyci polscy w Archangielsku pokłócili się między sobą i jednego ze swoich, niejakiego Władysława Stefańskiego z Lublina, zamordowali. Trzeba wiedzieć, że tych bandytów, których sąd nie skazał na śmierć, ale na deportacyę, wysyłały władze rosyjskie przeważnie do Archangielska. Tam obznajomiwszy się z sytuacyą, rozpoczęli oni uprawiać dalej swoje rzemiosło: zaczęli teroryzować miejscową ludność i brać od niej opłaty. Tymi dniami wystosowali do bogatego kupca Diatlewa pismo, w którym zażądali kilku tysięcy rubli okupu, a w przeciwnym razie zagrozili mu śmiercią. Przerażony kupiec, ponieważ znał Stefańskiego, udał się do niego z prośbą, aby wykrył kto ułożył ten list z pogróżkami i czy nie da się on nakłonić do jakiejś skromnej opłaty. Stefański zgodził się na to i rozpoczął dochodzenia. Wtedy bandyci postanowili go zamordować. I oto zaraz następnego dnia przybył do Stefańskiego Ruszkowski, który, jak się domyślają, był autorem owego listu, i Dirza z dwoma synami. Zaczęli się raczyć wódką i rozprawiać o tem, kto z nich silniejszy. Stefański zaczął się mocować z Dirzą; po chwili go przewrócił i przycisnął do podłogi. A kiedy tak tłoczył go na ziemi, podbiegł do niego Ruszkowski i sztyletem go żgnął w plecy tak, że sztylet wszedł w ciało aż po rękojeść. W parę chwil potem Stefański życie skończył. Ruszkowskiego, Dirzę i jego synów aresztowano.

Rodzina Hauków. Pani Ludwika Hauke wydała tymi dniami w języku francuskim książkę pod tytułem *„Le général Maurice comte de Hauke“*. Jestto wspomnienie pośmiertne o jenerale Maurycym Hauke, napisane z powodu setnej rocznicy osiedlenia się tej rodziny w Polsce (1782 — 1882). Autorka zaznacza, iż rodzina Hauków jest pochodzenia flamandzkiego, zwała się Van-der-Haacken, jest szlachecką od XV stulecia, a wielu jej przodków odznaczyło się w marynarce, której zawsze wiernie służyli. Nazwisko rodzinne bierze początek od godła herbowego, które wyobraża hak do zahaczania łodzi: po flamandzku *haucken*, po polsku — bosak. Po wyemigrowaniu do Moguncyi w końcu XVII stulecia, rodzina przybrała nazwisko o brzmieniu niemieckiem von Haucke, gdy zaś w r. 1782 przybyła do Rzeczypospolitej i w niej się osiedliła, pisownię nazwiska zastosowała do wymagań języka polskiego. Szlachectwo polskie rodzina otrzymała w r. 1826, poczem w r. 1829 gałąź Maurycego de Hauke otrzymała tytuł hrabiowski, gałąź zaś Józefa de Hauke w r. 1830. Książkę przeznaczyła autorka tylko dla członków rodziny. We Lwowie przebywa teraz tylko jeden członek tej rodziny, ożeniony z francuską. Teraźniejsza zaś królowa Hiszpanii jest spokrewniona z rodziną Hauków.

Tumany kurzu pokrywają znowu Lwów. Przez parę dni padały deszcze, więc mieliśmy jakie takie powietrze we Lwowie; dzisiaj zaś oddychamy już kaszą. Zaprawdę niezrozumiałą nam jest indolencya magistratu, niemogącego przeprowadzić polewania ulic. Uchwalono mu na Radzie miejskiej kredyt nieograniczony na oczyszczenie miasta i polewanie ulic, a on tymczasem nic w tej mierze nie zrobił. Starych studni nie pootwierał, beczkowozów nie zakupił, nawet nie mógł się zaopatrzyć w rury gutaperkowe, które przywiercane do hydrantów mogłyby doskonale polewać ulice. Jeżeli w magistracie nie ma ani jednej administracyjnej głowy, to niechże Rada miejska wysadzi komisyę z specyalnem poleceniem zajęcia się tą sprawą.

Samobójstwo. Owa młoda dziewczyna, która rzuciła się onegdaj pod koła pociągu na Wulce i zginęła na miejscu, nazywała się Apolonia Sidorowiczówna, a była zatrudniona w fabryce kafli p. Lewińskiego.

Temperatura dnia 25 maja o godzinie 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +16, we Lwowie +14, w Tarnopolu +13, w Czerniowcach +15, w Wiedniu +16, w Salcburgu +16, w Gracu +17, w Pradze +17, w Tryeście +18, w Abbazyi +18, w Raguzie +21, w Budapeszcie +19, w Berlinie +15, w Hamburgu +13, w Monachium +18, w Zurychu +15, w Genewie +14, w Lugano +16, w Anglii +11, w Paryżu +18, w Biarritz +22, w Nizzy +21, w północnych Włoszech +17, we Florencyi +18, w Rzymie +18, w Neapolu +22, w Palermo +23, w Madrycie +14, w Sztokholmie +12, w Petersburgu +8, w Wilnie +7, w Warszawie +11, w Moskwie +8, w Kijowie +12, w Odessie +20, w Serajewie +15, w Belgradzie +20, w Bukareszcie +23, w Sofii +18, w Konstantynopolu +18, w Atenach +24. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 10 R. w poł. + 16 R. w cieniu, + 20 na słońcu. Bar. 763. Spada. Pogoda.

W domu u adwokata.

„Żono, każ służbie wszystkie srebra i kosztowności pochować i pilnować. Sławny złodziej, którego dziś obroniłem w sądzie, ma tu przyjść i złożyć mi podziękowanie“.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „Cyrulik sewilski,“ opera G. Rossiniego. Trzeci występ Sigridy Arnoldson. — We środę „Rozbitki,“ komedya J. Blizińskiego, występ Miecz. Frenkla. — We czwartek teatr zamknięty. — W piątek „Chory z urojenia“, komedya Moliera, występ M. Frenkla. — W sobotę popołudniu ostatnie w bieżącym sezonie przedstawienie dla młodzieży szkolnej „Tamten“ sztuka J. Maskoffa. Debiut Izy Koreckiej w roli Maryi; wieczorem „Carmen“, przedostatni występ Sigridy Arnoldson. — W niedzielę popołudniu „Dama od Maksyma“, wieczorem „Wesoła wdówka. — W poniedziałek „Starzy kawalerowie,“ komedya Sardou. występ Miecz. Frenkla. — We wtorek „Mignon“ Thomasa, ostatni występ S. Arnoldson. — We środę „Odrodzenie,“ komedya Schönthana, występ M. Frenkla.

Repertuar teatru krakowskiego. We środę „Pan Damazy“ J. Blizińskiego; we czwartek teatr zamknięty; w piątek „300 dni“, krotochwila P. Gavault'a i A. Charvey'a; w sobotę „Mieszczanie“ Gorkiego; w niedzielę „Nadzieja“ Heijermansa. We wszystkich tych sztukach występuje gościnnie p. Feldman.

Z Colosseum. Sensacyą następnego programu w Colosseum będzie egzotyczna trupa Chunchuzów, szczepu znanego z ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej. Chunchuzi ci mieszkają w Mandżuryi i stanowią osobne plemię mongolskie, podległe berłu chińskiemu. Przymioty jego stanowią: inteligencya i dzielność. Chunchuzi byli w swoim czasie znani jako najwięksi i najstraszniejsi wrogowie rosyjskiej armii. Mają oni, dzięki kwitnącej wśród nich sztuce magii tak wielki wpływ na różne mongolskie szczepy, że je z łatwością dla siebie pozyskują i skłaniają do walki z ich wrogami. Chunchuzi byli wogóle długo przed czasami chrześcijańskiemi wielkimi kapłanami czarodziejskimi w Azyi i tajemnice czarnej magii przenosili z ojca na syna. Członkowie trupy Tschin-Maa są właśnie Chunchuzami tej sekty i niektórzy z nich byli przodownikami w powstaniu bokserów w Chinach. Produkowali się oni z ogromnem powodzeniem przed cesarzem Japonii i cesarzową wdową Chin. Gdy wybuchła wojna rosyjsko-japońska towarzyszyli Chunchuzi armii rosyjskiej do Mandżuryi dla zabawy oficerów. Byli obecnymi w bitwie pod Liaujang i pomaszerowali z wojskiem rosyjskiem do Mukdenu. W Charbinie przytrzymał ich oddział konnych czerkiesów, ale po trzytygodniowej niewoli eskortował na granicę Syberyi. Po ich przybyciu do Irkucka byliby przez mieszkańców, którzy ich mieli za szpiegów zlynchowani, ale za interwencyą austryackiego konsulatu uszli strasznej śmierci. Przebrani za Europejczyków dotarli do Petersburga gdzie im konsul chiński, jako artystom wystawił paszporta. Ta interesująca trupa artystyczna, która przebyła tak straszne przygody, wystąpi w Colosseum z produkcyami, przewyższającemi wszystko dotychczas widziane, a zapewniające im w całym świecie sukces olbrzymi.

Literatura i sztuka.

Z teatru. Dawno nie przypominamy sobie tak ożywionego sezonu teatralnego, jak w danej chwili. Co drugi dzień przedstawienia dramatyczne nadzwyczaj zajmujące i obsadzone pierwszemi siłami, z warszawskim gościem, p. Frenklem na czele; co drugi dzień opera, obsadzona dobrymi artystami, z wielką europejską gwiazdą, p. Arnoldson, na czele. To też ruch w teatrze niesłychany. O bilety trzeba się dobijać, z trudnością się je dostaje, zamiejscowej publiczności mnóstwo, gdyż prowincya, czytając repertuar ułożony na daleką metę, przysyła całe zastępy swoich obywateli do naszej sali teatralnej.

Tymi dniami mieliśmy więc doskonałe przedstawienie „Traviaty“, w której rolę tytułową od-

śpiewała artystka szwedzka prześlicznie, mniej namiętnie niż Bellincioni, ale za to więcej z tą finezyą, subtelnością i tym poetycznym nastrojem, który wkłada w tę partyę p. Irena Bohuss-Hellerowa.

Mieliśmy następnie doskonałą farsę Zaleskiego „Oj, mężczyźni! mężczyźni!“, stanowczo jednę z najlepszych fars, jakie wydała literatura dramatyczna XIX stulecia, i doskonałą, pełną finezyi i dowcipu komedyę Piotra Wolffa p. t. „Publiczna tajemnica“. W obu tych sztukach główne role wykonał niezrównany Frenkiel, artysta niezaprzeczenie olbrzymiego talentu, niesłychanie inteligentny, rozporządzający ogromnym materyałem obserwacyjnym, posiadający głos przedziwnie piękny, piękną postawę i wytworne ruchy.

Nasi artyści dostrajali się doskonale do tych wyżyn, na które musieli wchodzić, żeby stworzyć artystyczny zespół z gościem warszawskim. Jedną wszakże zrobić im należy uwagę. Właściwie nie my robimy tę uwagę, ale i wczoraj i w niedzielę zrobiła ją sama publiczność. Oto w sali, wśród największego nastrojowego naprężenia dały się słyszeć gromkie wołania: „głośniej! głośniej!“ I przyznać musimy, niestety, że wołania te były zupełnie usprawiedliwione. Artyści nasi przyzwyczaili się za rządów p. Pawlikowskiego do mówienia jak najciszej, gdyż ten dyrektor sądził, że tą drogą najlepiej nastrój poetyczny wywoła. Mylił się jednak, bo jest to droga do wywołania jednego tylko nastroju niezadowolenia.

Publiczność ogromnie się irytuje, jeżeli nie wie, co aktorzy mówią na scenie, a nie wie z dwóch powodów: raz dlatego, że na sali zawsze jest pewien szmer, który przeszkadza słuchać, a powtóre dlatego, że nie wszyscy artyści mają talent wyraźnego wymawiania. U Frenkla słychać każdy wyraz, słychać go także u Gostyńskiej, u Sosnowskiego, u Chmielińskiego, u Adwentowicza, ale nie każdy u Hierowskiego, u p. Trapszo, u p. Bednarzewskiej etc. Zwłaszcza kobiety mówią najczęściej bardzo niewyraźnie. Życzliwą radę naszą, żeby się starały lepiej i jaśniej wymawiać — niech przyjmą bez irytacyi.

Licznie zebrana wczoraj i przedwczoraj publiczność w teatrze wywoływała Frenkla niezliczoną liczbę razy.

* **Wacław Berent.** „Próchno“. Powieść współczesna. (Wydanie drugie). Kraków. Gebethner i Spółka. 1907. Stronic 323.

Wyznajemy otwarcie, że z uczuciem wielkiego niezadowolenia dowiedzieliśmy się, iż książka ta, tak nieskończenie marna i licha doczekała się drugiego wydania. Co mogło skłonić publiczność, żeby rozkupić pierwszą edycyę jakiegoś chaotycznego opowiadania o włóczędze po knajpach kilku spróchniałych i wstrętnych pijaków? Jeden z tych pijaków jest aktorem, drugi muzykiem, trzeci dziennikarzem, czwarty znowu aktorem, piąty jakimś próżniakiem, a wszyscy — łajdakami. Ludzie ci ciągle są pijani, prowadzą rozmowy chaotyczne, bezładne, tak jak zwykle się zdarza u pijaków. Autor ze skrzętnością stenografa notuje te rozmowy, ale obrazu nie tworzy nigdy. Przytem naśladując Przybyszewskiego, pisze rzecz swoją tak, że my nie wiemy, ani gdzie się rzecz dzieje, ani jakiej narodowości są ci ludzie, ani jakie są ich stosunki materyalne — widzimy tylko, że piją tak, jak bohaterowie Przybyszewskiego, i że są to natury nawskróś przegniłe, wstrętne, upadłe — słowem, że są próchnem.

Bohaterem tej książki jest jakiś aktor Borowski. Ale to jest źle powiedziane, że on jest „bohaterem“, bo właściwie bohaterami są wszyscy ci czterej, pięciu, czy sześciu pijaków. Autor każe im albo wszystkim pić równocześnie i gadać sobie wzajemnie jakieś impertynencye, albo dzieli ich na grupy po dwóch, po trzech, i wtedy zajmuje się taką grupą, a o reszcie zupełnie zapomina. W końcu zapomina i o tym Borowskima poświęca całą swoją uwagę jakiemuś Hertzensteinowi, który jest muzykiem i wierzy w buddaizm.

Borowski ma żonę, jakąś Zośkę, której jednak mimo usiłowań ze strony autora nie poznaliśmy wcale. Świadczy to tylko jak słabym jest talent p. Berenta. Zochnę tę pokazuje nam zawsze w zwierciadle uczuć innych ludzi; sama ona występuje rzadko. A takie marne tworzył zwierciadła z tych uczuć, że można cały tom przeczytać i jej właściwie nie poznać. W Zochnie tej kochają się wszyscy, ale ta miłość jest zawsze tylko brudną, zmysłową, zwierzęcą miłością.

Żeby dać poznać, jakie są estetyczne upodobania autora, przytoczymy tu jeden ustęp. Dać jednak musimy przedtem komentarz: jest to ustęp tak wstrętny, jak wszystkie inne, ale od innych jaśniejszy, zrozumialszy. Do tego jest to ustęp tak samo brudny, jak wszystkie inne i podobnie, jak całej książki, nie możnaby go czytać w towarzystwie. To też w społeczeństwie szlachetnem, rozumnem i estetycznie wyrobionem, książka ta nie doczekałaby się nigdy dwóch edycyi. Ale skoro u nas doczekała się już drugiej i skoro jest cały literacki obóz wynoszący ją pod niebiosa i uważający ją za jedno z arcydzieł nowożytnego piśmiennictwa, to musimy ostrzedz publiczność przed nią i pokazać, jakie to brudy ona zawiera. W ustępie, który mamy zacytować, rzecz idzie o to, że stary aktor, radzi synowi — również aktorowi — aby się nie żenił, utrzymując, że ożenienie się zabija talent. Syn, mimo to, żeni się, co wprawia jego ojca w okropny gniew, zwłaszcza, że on sam podsunął mu tę Zochnę w mniemaniu, że będzie ona tylko jego kochanką. Tymczasem syn poszedł dalej, niż ojciec przypuszczał, i tak mocno się zadurzył w dziewczynie, że gdy kochanką jego zostać nie chciała, wziął z nią ślub, tembardziej, że ojciec w tem mu przeszkadzać nie mógł, bo odsiadywał karę dwumiesięcznego więzienia, na którą skazany został za jakąś burdę uliczną. Ożenienie się syna oburzyło ojca do żywego.

W chwili, gdy rozpoczyna się ustęp, który cytujemy, stary Borowski został właśnie wypuszczony z więzienia, a młody Borowski wychodzi za kulisy ze sceny, na której występował w jakiejś sztuce i grał bardzo źle. Autor pisze:

Grałem źle.

Szczegółów nie pamiętam. Wiem tylko, że było źle. Licho chciało w dodatku, że sztuka była cudzoziomska. Przy swojskiej obstałbym się na zdobytem stanowisku, a sztukębym położył. Ta przeszła jednak przez granicę, jako nowość repertuaru wiedeńskiego i z tą plombą dawaliśmy ją na scenę. Nieobecna, a zagadkowa wielkość powaliła mnie twarzą na ziemię, wiedeńczyk wlazł na mnie obiema nogami. Nie nadaję się do sztuk obyczajowo-mieszczańskich, do „Familien-dramatu“ — mówili dziennikarze. Ha, sfery w sztuce były może i mieszczańskie, ale familia stanowczo żydowska, jej dramat z dziennika, a obyczaje z kuchni. Tak-em się pocieszał, bom ogromnie potrzebował pociechy. Tak bardzo chciało się oddychać własnem szczęściem.

W chwili, kiedy wszyscy na mnie powstawali, przyszła za kulisy żona, z wilgotnemi jeszcze oczyma z niewygasłą na twarzy ciekawością i wypiekami na policzkach. Odciągnęła mnie na bok; miała coś bardzo ważnego do powiedzenia. Tam rzuciła mi się na szyję.

— Właduś mój kochany — wołała — jak ty ślicznie grasz!

I miałbym się martwić wobec tego? — Śmiałem się, jak dziecko; śmiałem się z dziennikarzy, z dyrektora, z młodego błazna, którego na moją rolę już podsunięto; śmiałem się z całego świata. Ująłem ją w pół i jak dwoje dzieciaków, puściliśmy się w lansadach przez kurytarz.

— Stop! — krzyczę, bośmy się zapędzili w jakieś ciemne przejście. — Zośka, ktoś idzie. Stój! bo wpadniemy w ramiona starcowi. Mecenasy, jak szczury żerują u nas po korytarzach.

Zośka w śmiech; upiła się naszą radością. — W tejże chwili błyska światło; ojciec stoi w cylindrze, w jasnej swej kurtce, z parasolem w jednej ręce, z zapałką w drugiej... Mnie krew uderza do głowy.

— Patrz, Zośka — silę się na wesołość — patrz jak ojciec ducha Banka odstawia... Statystę gra na kurytarzach.

Zośka śmieje się bez pamięci. Mnie wściekać już zaczyna to kabotyństwo wstrętne, to napędzanie grozy, jak dzieciom, płaskiemi sztukami niańki! „I czego on chce odemnie? Milczy, ani słówkiem się nie odezwie. Poczekaj! ja cię rozruszam!“

— W knajpach odegrał już swój repertuar — mówię — teraz na melodramaty próbuje się w przejściach do garderoby. Z parasolem w ręku próbuje odstawiać widmo sumienia — sumienia artysty!

Zośka zatacza się, jak piana. Kulisy i całe to życie teatru, które widzi po raz pierwszy, odurza ją jak wino. A stary wciąż milczy. Zapałka gaśnie, czerwone zarzewie rzuca groźne refleksy na jego zmęczoną, gorzkim bólem wykrzywioną twarz. Czerwony węgiel opada i gaśnie. Stary stoi po ciemku i wciąż jeszcze milczy.

— Trzeba czemprędzej zapaść się pod ziemię mówię wesoło, a pięści ściskam ze złości, że zaś podłoga się nie rozstąpi, należy dla efektu uciekać co rychlej na prawo — do ustępu.

I dałby kto wiarę? — posłuchał. — Nie, Władek — woła Zośka, krztusząc się i za piersi chwytając — przecież to jest ogromnie zabawne.. Ale ty brzydki jesteś. Nie należy drwić z ojca. I ty się upijasz. Odprowadź mię, bo się rozchoruję z tego śmiechu.

— Ty kwoko gdacząca! — odzywa się wreszcie stary ze swego stanowiska.

Wyrznąłem pięścią w drzwi.

— Czy ty nie czujesz śmieszności, stary kabotynie.

— Ja ojciec jestem, a nie żaden „ty“. Ja artysta jestem, a nie kabotyn! Bodaj ci język za te bluźnierstwa uschł. — Toć wyleź-że choć z tej dziury. Zośka ze śmiechu wpadła w nagły strach, w to instyktowne, wyłącznie kobiece przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Czepia się mnie i odciąga na bok.

— Ona ci już z serca krew pić zaczęła — huczy stary przez szparę we drzwiach — już ojcu urągasz, w twarz mu plujesz. Zapamiętajże sobie zapamiętaj: „Oko, które się z ojca i matki naśmiewa, kruki u potomków wydłubią, a orlęta je rozniosą“.

Nie, to oszaleć można! To w manierze na śmieszność oślepłe, zgrzybiałe aktorstwo. On mi biblię stamtąd cytuje!

Skąd się u tego dziecka tyle siły wzięło? Gniotę jej ręce i zrywam je z siebie, a one, jak ssawki polipa, czepiają się mnie co chwila na nowo i ciągną za sobą. Odrzuciłem ją wreszcie ku ścianie.

— Ty mi o żonie mojej milcz — krzyczę i walę z całych sił we drzwi.

— Ja cię krwią serca mego wykarmiłem — grzmi ojciec z gabinetu — mem życiem, mym talentem, wszystkiemi władzami duszy; a ten polip to wszystko wyssie z ciebie... To nie kobieta, nie dusza, nie artystka, to zwyczajna suka, która pomioty rzucać chce.

Zośka wydała cienki, przeraźliwy pisk i uciekła. Rzuciłem się całem ciałem na drzwi.

— Chodź tu! wołam.

— Do syna? Bić chcesz?

— Będę bił bez pamięci...

— Będzieesz?? — powtórzył przeciągle. I ucichł. Zośka łka gdzieś na drugim korytarzu. Ten płacz mąci mi myśl do reszty. Spostrzegam się po niewczasie, żem przed chwilą coś potwornego powiedział i zaczynam chłodnąć.

— Ojciec pijany — mówię.

Nie odpowiedział. Pijany — myślę — mniej przecie odpowiada za siebie, niż szczekający pies. — Także porównanie — szarpnąłem się natychmiast i miałem ochotę bić siebie po twarzy. Co za nowa nikczemność wstąpiła we mnie? Tego dawniej nie było, nie było! To ostatni dorobek życia, ostatni dar kobiety. Stary tylko w miłości ku mnie był psem chyba. To szlochanie kobiety z daleka, takie miękkie myśli na mnie sprowadza.

Zośka milcz, lub idź precz...

— Ojciec, otwórz — proszę przez dziurkę od klucza. — Nie zważaj, co ja plotę... Ojciec... widzisz — jużeś się zwalił?.. Otwóż: otrzeźwię i do domu zaprowadzę. Szampana zafunduję. Ojciec! No... słuchaj, co mówię. Szampitra... Ja cię po rękach będę całował... I czego ty się rzucasz jak szczupak?

Ręce mi drżą: te głupie myśli tak potwornem niedołęstwem skuwają ciało. Chcę drzwi wywalić, a klamki ruszyć nie mogę. Ani się nie podda...

Nigdy w życiu tak strasznie nie krzyknąłem, jak wówczas:

— Zośka, wołaj ludzi!..

Klamka ciężka — kołacze mi w myślach i biegnę jak opętany przez korytarz. Wypada cała banda aktorów i statystów. Nawpół rozebrani otaczają mnie kołem, szarpią, cucą, chcąc ze mnie bodajby słowo jedno wydobyć. W tejże chwili jak błyskawica, oświecił mi pamięć ojca głos i jego przekleństwo. Widzę naokół te gołe, wstrętne twarze, na których przed godziną taką radość przy mojem niepowodzeniu czytałem; widzę czujne strachem i zaokrąglone oczy, zaparty oddech w ich piersiach: widzów mam przed sobą. I ja, najnikczemniejszy człowiek na świecie — zaczynam grać... Gram wyklętego syna. Język mi kołem utkwił: bełkocę... Czuję, że trzeba tylko wysiłku, chwilowej mocy, zerwania się krótkiego woli, aby się opanować; lecz nie stać mnie na ten wysiłek, nie stać na to, by prawdę od urojeń, rzeczywistość od wyobrażeń oddzielić. Coś jakby obuchem ciężkim uderza mnie po głowie: ciało będzie może ode mnie szczersze? Przytomności jednak nie tracę, rozum tylko własny gubię: instynkt aktora przecie ocalam. Wyrywam się z chciwych ciekawością dłoni, odskakuję w tył, podwijam się w sobie, i padam na wznak. Mam jednak jeszcze tylo sił, by wagę ciała rzucić tam, w stronę tych podłych, fascynujących mnie, jak spojrzenie węża, oczu, w stronę tego błazna, co moją rolę objął. Słabe było bydlę, nie utrzymał mnie w ramionach. Już na pół tylko przytomny, padam jak kłoda na ziemię i toczę mu się pod nogi.

— *All right* — szepce przezemnie ten obłęd.

Takeśmy z ojcem moim swe ostatnie odegrali komedye.

Tyle autor. Żeby nie wyrządzić mu żadnej niesprawiedliwości, przytoczyliśmy stanowczo najlepszy ustęp z całej książki, najjaśniejszy, w którym się wie kto mówi, do kogo mówi i o czem mówi; w którym następnie uczucia są jasno sformułowane, a obraz odrysowany dość dobrze, tak, że czytelnik może sobie całą scenę dobrze wyobrazić. Scena ta jest niesłychanie brudną i dziwić się można pisarzowi, że nie potrafił w innej formie odmalować nam stosunku młodego Borowskiego do żony i ojca. Ale to trudno. Dzisiaj jest cała już szkoła pisarzy młodych i nie pozbawionych talentu, którzy mają tak przytępione uczucia smaku, że dopiero w rzeczach przyprawionych *asa foetidą* odczuwają pewne podrażnienie nerwowe.

Gdyby jednak cała książka składała się ze scen takich jak ta, którą przytoczyliśmy, tobyśmy koniec końców darowali autorowi to jego zamiłowanie do rzeczy brudnych, lecz wyraziwszy z tego powodu żal, przyznalibyśmy mu pewien talent, siłę stylu i ekspresyę. Ale niestety uczynić tego nie możemy z powodu, iż w całej książce ten jeden tylko ustęp świadczyć może o pewnej iskrze talentu. Reszta zaś wszystko jest nudną, płaską i bezmyślną gadaniną ludzi, których wartość moralna jest żadna, a wartość intelektualna bardzo niewielka.

Głosy publiczności.

Wspomnienie pośmiertne. Zmarły we Lwowie 21 maja b. r. austro-węg. konsul, ś. p. Feliks Maryański, urodził się w r. 1865 w Jarmolińcach na Podolu rosyjskiem. Już w czasie odbytych w Warszawie i Lwowie studyów, okazywał śp. Feliks wybitne zdolności. Zostawszy zaś wychowańcem wiedeńskiej akademii oryentalnej, ukończył ją ze świetnym wynikiem, uzyskując jako pierwszy Polak tej szkoły najwyższą nagrodę, złoty medal. Po jednorocznej praktyce w sądach wiedeńskich i Izbie handlowej w Fiumie w r. 1891 odbytej, mianowany konsularnym attache, przebywał śp. zmarły ciągle na Wschodzie. Początkowo jako attache konsularny, a następnie wicekonsul w Bejrucie, przez szereg lat jako wicekonsul w Konstantynopolu, gdzie mu pod koniec jego tam pobytu powierzono gerencyę jeneralnego konsulatu konstantynopolitańskiego, wszędzie doznając uznania władz przełożonych, pozyskał szacunek ogólny i austro-węg. kolonii. Obdarzony orderem Franciszka Józefa i orderem tureckim Osmana I klasy, już we wrześniu 1901 r. otrzymał po 9 latach sprawowania konsulatu w Konstantynopolu, samodzielny i ważny posterunek konsula w Kairze, na którem to stanowisku zachował tradycye swych polskich poprzedników, jednając sobie przez swą prawość i sumienność ogólny szacunek. Niestety, gorący klimat Egiptu przyśpieszył rozwój choroby nerwowej, której ś. p. zmarły po długich cierpieniach uległ. Dom jego w Kairze słynie jako środowisko tamtejszej kolonii polskiej, której był zawsze gorącym opiekunem. Ciężką tę stratę dla rodziców zmarłego i jego dwóch młodszych braci, Karola, komisarza, i Henryka, praktykanta konceptowego w Namiestnictwie we Lwowie, piszący niniejszy nekrolog, jako dokładnie obznajomiony od lat trzydziestu kilku ze stosunkami tej rodziny, cieszącej się w całem społeczeństwie w zaborze rosyjskim chlubną opinią, nie może nie wyrazić wielkiego żalu z powodu tak przedwczesnej śmierci śp. Feliksa Maryańskiego. Niech mu też ziemia lekką będzie, a rodzicom i braciom niech choć kroplę ulgi w nieprzebolałem strapieniu współczucie ogółu przyniesie.

Stanisław Lewicki.

Z izby sądowej.

Lwów 28 maja.

(Udany napad rabunkowy).

Floryan Łatka, lokaj pp. Mikolaschów, dobrał się — jak wiadomo — pewnej niedzieli w marcu br. gdy państwa w domu nie było, podrobionym kluczem do biurka swej służbodawczyni i zabrał stamtąd 1.200 koron gotówką. Żeby zaś odwrócić od siebie podejrzenie, odegrał następującą komedyę: podrapał sobie trochę skórę na rękach scyzorykiem, skrępował sobie ręce sznurkiem i włożył chusteczkę od nosa do ust i leżał rzekomo nieprzytomny na podłodze. Gdy nadeszła z kościoła kucharka pp. Mikolaschów i zobaczyła co się święci, zaalarmowała personal apteczny. Po rozcięciu sznurów i wyjęciu mu z ust chustki, Łatka symulował nader zręcznie chorego. Majaczył jak w gorączce, a gdy odesłany do szpitalu, odzyskał przytomność, opowiedział historyę o jakichś dwóch bandytach, którzy do mieszkania wtargnęli, a gdy on im bronił wstępu do pokoju i błagał, żeby raczej jego oszczędności zabrali, a nie ruszali mienia państwa, oni powalili go na ziemię, skrępowali i zakneblowali usta. Ta historya okazała się jednak po ściślejszem badaniu kłamstwem i Łatka, przyciśnięty do muru, przyznał się do całej sprawki, oraz wskazał miejsce, gdzie zaraz po kradzieży ukrył pieniądze. Znaleziono tam jednak tylko 1.000 K. Co z resztą zrobił — nie wiadomo. Wczoraj stawał przed sądem przysięgłych i skazany został dzisiaj na podstawie jednomyślnego potępiającego werdyktu ławy na 5 lat ciężkiego więzienia. Wysokość kary tłómaczy się tem, że Łatka był już dwukrotnie za kradzież karany i że w ostatnim wypadku haniebnie nadużył zaufania swoich chlebodawców.

Część ekonomiczna.

Z kolei. Z ważnością od dnia 1 lipca 1907 wchodzi w życie dodatek IV do dodatku do taryf część II dla galic. węg. związku kolejowego z dnia 1-go stycznia 1904.

Z targów zbożowych.

Wiedeń 26 maja.

(Z). W ciągu ubiegłego tygodnia mieliśmy nową edycyę haussy i ceny zboża dosięgły znów najwyższego poziomu, jaki miały w czasie całego okresu gorączkowej spekulacyi zwyżkowej. To pogorszenie się sytuacyi przypisywano ponownemu podrożeniu zboża w Ameryce, powrotowi upałów i nowym niepomyślnym doniesieniom o stanie pól w nizinie węgierskiej.

Bądź co bądź ta już tyle tygodni trwająca fluktuacya cen zbożowych, wywoływana jedynie manewrami spekulantów, świadczy, jak uzasadnionem jest żądanie międzynarodowego kongresu rolniczego, ażeby we wszystkich państwach wydano zakaz handlu terminowego zbożem.

Co się tyczy pogłosek o wydaniu zakazu wywozu zboża lub przynajmniej kukurudzy z Rumunii, to wedle informacyi tutejszych kupców zbożowych wątpliwem jest, czy taki zakaz wydany zostanie w najbliższym czasie, gdyż znajdujące się w Rumunii zapasy zeszłorocznej kukurudzy są jeszcze bardzo znaczne. Być może jednak, że rząd roześle do chłopów cyrkularz z ostrzeżeniem, aby nie sprzedawali tej kukurudzy, jaką posiadają, gdyż potem mogą się znaleźć w kłopotliwem położeniu.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: Pszenicy 116 wagonów, żyta 107, jęczmienia 198, owsa 107, kukurudzy 53. Soczewicy nie ma.

Loco Wiedeń notowano dziś za 50 kilo następujące ceny:

Pszenica cisańska (78 do 82 kilo) 10·65 do 11·20, banatka (76 do 80 kilo) 10·25—10·85, słowacka (76 do 81 kilo) 9·80—10·30, dolnoaustryacka (75 do 79 kilo) 9·80—10·10.

Żyto słowackie (72 do 74 kilo) 8·55 do 8·75, rozmaite węgierskie (72 do 74 kilo) 8·40—8·70, austryackie (71 do 74 kilo) 8·45 do 8·70.

Jęczmień morawski 0·00—0·00, z doliny Morawy 0·00—0·00, słowacki 7·70—8·60, ze stacyi nad środkowym Dunajem 00·0—0·00, północno-węgierski loco stacya 0·00—0·00, cisański loco stacya 6·80—7·20, jęczmień na paszę 7·00—7·40.

Kukurudza węgierska 6·60—6·85, Cinquantin 7·40—7·80.

Owies węgierski średnie gatunki 8·55 do 8·75, prima 8·65—9·10.

§ **Sprawozdanie tygodniowe** Izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 20 do 26 maja bez opłaty akcyzowej. Waluta koronowa.

Pszenica 9.65—9.85, żyto 8.20—8.40, jęczmień browarny 9.35—9.85, pastewny 0.00—0.00, owies 9.70 — 10.20. Kukurudza 7.25—7.65. Proso 0.00 do 0.00. Groch do gotowania 11.25—11.75, pastewny 0.00—0.00, bobik 0·00—0.00, wyka 0·00—0.00. Koniczyna czerwona —.00—.—·00, biała —.00 do —.00, szwedzka 00.00—00.00, rzepak zimowy 12.75 13.00, lnianka 00.00—00.00, nasienie lniane 00.00 do 00.00, nasienie konopne 0.00 —00.00, tymotka —.00——.00. Chmiel 60.00—85.00. Nafta zwykła 14.00—15.00, salonowa 16.00—18.00. — Spirytus 10.000 literpercent gotowy, kontyngentowany 46.85 do 47.15. Spirytus nadkontyngent. (ekskontyng.) 27.25—27.55.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń. Prezydent Najw. Trybunału kasacyjnego zamianował adjunktów sądowych dra Tadeusza kn. Puzynę i dra Ernesta Habichta adjunktami sekretaryalnymi (Ratssekretarsadjunkten) w Najw. Trybunale.

Wiedeń. Cesarz sankcyonował uchwalony przez galicyjski Sejm krajowy projekt ustawy, zmieniającej kilka postanowień ustawy z 11 czerwca 1905 Dz. u. kraj. nr. 73 (o stosunkach prawnych nauczycieli w publicznych szkołach ludowych).

Kraków. Komitet restauracyi Zamku na Wawelu uchwalił w miejsce członka komitetu śp. Jana Stanisławskiego przedstawić Wydziałowi krajowemu do zatwierdzenia p. Jacka Malczewskiego, art.-malarza.

Budapeszt. Z chorwacko-serbskich kół politycznych donoszą o wczorajszej konferencyi z banem Pajacsewiczem, że odrzucono propozycye rządu węgierskiego w sprawie języka na kolejach i wszelkie dalsze rokowania uznano za bezcelowe.

Warszawa. P. P. S. w specyalnie wydanej odezwie ostro wystąpiła przeciw napadom frakcyi rewolucyjnej, która przyznała się jawnie do ograbienia poczty w Łodzi i zorganizowania napadu na miejską stacyę kolejową w Warszawie. W niedzielę odbyły się w Warszawie z tego powodu liczne wiece w fabrykach. Niektórzy zwolennicy frakcyi rewolucyjnej usiłowali usprawiedliwić jej postępki, ale mowy te nie miały wpływu. Wszędzie ostro potępiono napady. W jednej z fabryk na Woli przedstawiciel S. D. (socyalnej demokracyi) oświadczył, że partya ta nie wystąpiła z protestem, ponieważ jej kierownicy są w Londynie na zjeździe socyalistów i po powrocie ich ogłosi partya także protest przeciw bandytyzmowi.

Helsingfors. Delegat Koła Polskiego p. Dembiński zwrócił się do prezydyum Sejmu z mową, w której wyraził uznanie dla działalności ludów finlandzkich, które dzięki swej wytrwałości zdobyły przynależne sobie prawa i wolności polityczne. Naród polski z powodu pokrewnych dążności sympatyzował zawsze z Finlandyą, bolał nad porażkami jej, zaś dziś raduje go zwycięstwo, osiągnięte przez Finlandyę.

Wiceprezydent Sejmu bar. Palmer podziękował serdecznie delegatom polskim i życzył im owocnej pracy politycznej.

Delegacya polska obecna była na posiedzeniu Sejmu. Prezydent oznajmił Sejmowi oficyalnie o życzeniach Polaków. Delegacya otrzymała zaproszenie na uroczysty obiad.

Berlin. Szef austro-węgierskiego sztabu jeneralnego Konrad v. Hötzendorf przybył tu dziś rano i odwiedził przedpołudniem ministra wojny i kanclerza Bülowa. Wieczorem odbędzie się na jego cześć obiad u jen. Moltkego.

Londyn. W Izbie gmin przedłożył rząd projekt ustawy w sprawie powiększenia liczby małych własności ziemskich, aby zapobiedz wyludnianiu się kraju. Ustawa przewiduje tworzenie małej własności ziemskiej bądź to przez dzierżawę, bądź przez kupno, bądź też ewentualnie przez wywłaszczenie.

Hongkong. Niepokoje wybuchły w Hongkongu. Wymordowano wszystkich urzędników i spalono budynki rządowe. Celem uśmierzenia rozruchów wysłano wojsko.

Teheran. W mieście panował wczoraj spokój, wszystkie sklepy pozamykano; parlament nie obradował. Rahinkana, którego ludzie dopuścili się rabunków w Tebris, internowano we własnym jego pałacu, lecz parlament nie jest z tego zadowolony i domaga się uwięzienia go. Do Tebris wysłano telegraficzne polecenia poczynienia kroków celem stłumienia niepokojów. Liczba zabitych podczas zajść w Tebris ma być przesadzona.

Przyjechali dnia 28 maja. M. Bobrowski z Kozowy. Wł. Bal z Sambora. H. Czaplińska z Trembowli. J. Frommel z Rozdołu. B. Obfidowicz z Tarnopola. W. Ziołecki z Barszczowic. St. Sidorowski z Bursztyna. J. Balicki z Okna. A. Gerzabek z Krakowa. T. Cichocki z Warszawy. A. Czarnecki z Żabiego. A. Bohringer, R. Baller, S. Friedmann i M. Mraczek z Wiednia. S. Hamerschlag z Berlina. J. Schrott z Salzburga.

Przyjechali dnia 28 maja. Z. br. Brunicki z Węgier. K. Ramska i M. Męciński z Mikołajowa. F. Miehle z Brzuchowic. PP. Czechowscy z Krakowa. Radzca K. Mühlner z Borszczowa. M. Komarnicki z Jarosławic. R. Doms z Krakowa. J. Olkusznik z Bielic. Dr. J. W. Landesberg z Tarnopola.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Budapeszt 28 maja. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na maj 9·90—0·00, na październik 10·41 —10·42; żyto na maj 8·15—0·00, na październik 8·72—8·73; owies na maj 8·10—0·00, na październik 7·01 — 7·02; kukurudza na maj 6·05—0·00, na lipiec 6·06—6·07. Rzepak na sierpień 15·60—15·70. — Oferty: mierne.—Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: słabe. — Pogoda: zmienna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 27 maja.

Marki 117.72, renta majowa 98·05, węgierska renta koronowa 93,95, akcye: austr. zakł. kredyt. 658·50, węg. zakł. kred. 759·60, anglobanku 305·00, unionbanku 562·50, bankvereinu 541·50, landerbanku 446.00, kolei państw. 676·00, lombardy 124.75, akcye kolei Elbethal 424.50, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000·00, alpiny 590 50, Rima Muranyi 544·50. prag. T. żel. 2590·00, losy tureckie 182 50, ruble 252.$^{3}/_{8}$ Usposobienie: słabe.

5% renta rosyjska 1906 r. 84.80.

Lwów 28 maja. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 566 — do 572.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 586 00 do 596·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500·—· Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 108·—115.—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 110 50 do 111 20 4 i pół proc. los. w 50 lat 100 40 do 101·10, 4 proc. los. w 60 lat 97·20. do 97 90. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101 30 do 102·00. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97.60 do 98 80.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98 50 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 98·50 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 97 30 do 98 00.

Monety. Dukat cesarski 11·30 do 11·45. Napoleondor 19·10 do 19 30. 100 ruble rosyjskie papierowe 251 60 ko 253 60. 100 marek niemieckich 117 30 do 118 00.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**. 9.45, 6.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00. **2.16**, 5 40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10 05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*. **7.05**, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.03, **2.32**, 7 24*, 11 35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6 30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4 05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.36, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 3·25, 5·30 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10 05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·35 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9 25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10 10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9 40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł) 2 28, 3·45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12·41 popołudniu; i (od 1/6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9·05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8 34 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie), 9 15 przedpołud. i 3·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2 10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele rz. kat. święta).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

46)

KOBIETA ZASAD.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

I królewskim gestem odepchnęła najbliższych.

— Lepiej nie wchodzić — mruknął Dhunpat Rai do ucha Kasi. — Na dziedzińcu jakiś święty podburza ich przeciw pani. Mnie nawet źle przyjęto.

Szpital był pełen ludzi, którzy zabierali pościel, bieliznę, naczynia kuchenne, nawoływali się cicho po schodach, dawali sobie znaki i unosili chorych, jak mrówki unoszą swe białe poczwarki z rozrzuconego mrowiska. Inni mieli w ręku pęki chryzantemów i, zatrzymując się na każdym stopniu, odmawiali jakieś modlitwy; inni z religijnym wstrętem i odrazą oglądali narzędzia chirurgiczne, inni czerpali wodę ze studni w podwórzu i skrapiali nią sale, aby je oczyścić.

Na głównym dziedzińcu stał kapłan pustelnik, nagi zupełnie, okryty popiołem, z długimi włosami i rękoma, rozstawionemi jak skrzydła, wpół obłąkany. Potrząsał on nad głową długim kijem, zakończonym rogiem jelenim, i śpiewał chrapliwym głosem jakiś psalm dziwaczny, który podniecał gorliwość przybyłych.

Kiedy ujrzał przed sobą Kasię, bladą z gniewu, z oczyma płonącemi, jak pochodnie, śpiew jego stał się krzykiem nienawiści. Dziewczę usiłowało zbliżyć się do kobiet, o których przywiązaniu nie wątpiła, ale mężczyźni odepchnęli ją brutalnie, a jakiś chłop, przybyły z odległej prowincyi, groził jej pięścią i obrzucał obelgami. Nagle czarnooka kobieta z pustyni rzuciła się na niego z nożem w ręku i twarz mu skaleczyła. Ranny odskoczył z krzykiem.

— Pozwólcież mi przemówić! — wołała Kasia nadaremnie.

Kobieta z pustyni głosem i gestami uciszyła tłum wreszcie; tylko kapłan wył bezustannie. Kasia przystąpiła do niego, śmiała, wyprostowana, i przemówiła językiem krajowców:

— Ucisz się, bo znajdę sposób który ci zamknie usta!

Zdumiony człowiek umilkł, a Kasia natychmiast zwróciła się do kobiet.

— Cóż wam zrobiłam, drogie siostry? — przemówiła serdecznie. — Wiecie przecież, że was kocham, i że dniem i nocą macie prawo zwracać się do mnie w potrzebie. Dlaczegóż uciekacie stąd kiedyście chore? Nikt was nie zatrzymuje tu siłą, jesteście wolne i możecie czynić, co same chcecie, ale dla was i dzieci waszych proszę i błagam: pozostańce jeszcze, dopóki nie odzyskacie zdrowia przy pomocy boskiej. Lato teraz, w pustyni taki upał!... Wiele z was przybyło tu z krain odległych... Cóż poczniecie bez dachu?...

— Prawdę mówi! Prawdę mówi! — rozległy się głosy ciche.

— Tak, zawsze prawdę wam mówię. Zawsze dobrą byłam dla was. Powiedzcie mi, o co wam chodzi, i nie uciekajcie, jak spłoszone myszy. Siostry moje, słabe jesteście i chore, wasi rodzice, krewni i przyjaciele nie wiedzą, czego wam trzeba, ale ja wiem i...

— Więc cóż poczniemy? — zawołała jedna. — To nie nasza wina. Pustelnik zapewnia...

Wrzawa zerwała się znowu, jak burza; krzyki, oskarżenia, przekleństwa, zarzuty...

— Na plastrach napisane czarodziejstwa i zaklęcia!

— My nie chcemy podstępem zostać chrześcijaninami!

— Co znaczą te czerwone znaki na synapizmach?

— Na ciałach naszych mamy dziwne znaki! Kapłan miał objawienie na świętym pagórku i poznał sztuki dyabła, który chce pozbawić nas religii!

— Wszystkie dzieci, które się urodzą w szpitalu, będą miały uszy małe i ogon wielbłąda! — powiedziała nam kobieta, którą stąd wypędziłaś.

— Ciszej, ciszej! — wołała Kasia, ogłuszona tą falą pytań i zarzutów. — Jakie plastry? Co wam szkodzą synapizmy? Co za dyabeł i objawienie? Niejedno dziecko już się urodziło tutaj, i wiecie dobrze, że jest zdrowe i podobne do człowieka. Wstydźcie się wierzyć bajkom złej kobiety, którą wypędziłam za głupotę i nieuctwo.

— Tak, ale święty człowiek!

— Cóż on mnie obchodzi? Czy on was pielęgnował, gdy byłyście chore? Czy on przy was czuwał podczas długich nocy? Czy on siedział przy waszem łóżku? Czy poprawiał wam poduszki pod zbolałemi biodrami? Czy trzymał was za ręce, kiedyście cierpiały? Czy kołysał wasze dzieci, kiedyście potrzebowały wypoczynku?

— To święty, święty człowiek, cudotwórca. Nie możemy się narażać na gniew bogów.

— Patrz! — krzyknęła kobieta, zuchwalsza od innych.

Potrząsnęła wysoko kawałkiem synapizmu, przysłanego z Kalkuty, na którym czerwonemi literami wypisany był adres aptekarza.

— Patrz ne ten dyabelski wymysł! — powtarzała z iskrzącym wzrokiem.

Kobieta z pustyni pochwyciła ją za ramiona i rzuciła przed Kasią na kolana.

— Milcz, hyeno! — krzyknęła: — pani doktorka nie stworzona z tego samego błota, co tobie podobni, i nie masz prawa walać jej swojem dotknięciem. Pamiętaj, skąd tu przyszłaś, i mów cicho!

Kasia tymczasem wzięła z rąk jej plaster.

— Cóż wspólnego ma z dyabłem ten kawałek papieru? — zapytała spokojnie i prawie z uśmiechem.

— Kapłan, święty człowiek... On to wiedzieć musi.

— Nie, on nic nie wie — tłómaczyła Kasia, zdjęta litością nad ich bezbrzeżną głupotą. — Tyś miała na sobie ten plaster, Rhitira: czy źle ci zrobił? Nieraz dziękowałaś mi za ulgę, jaką ci przyniósł w cierpieniu... Gdyby to był wymysł szatański, spaliłby cię przecież na popiół.

— To też mię dobrze piekło — mruknęła Rhitira.

Kasia nie mogła się wstrzymać od śmiechu.

— To prawda — rzekła — ale nie mogę sprawić, aby moje lekarstwa były przyjemnemi, choć wszystkie wiecie, jak dobrze wam robią. Cóż o nich wiedzą wasi przyjaciele, wieśniacy, wielbłądnicy i pasterze! Cóż o nich sądzić mogą tacy ludzie, którzy nie widzieli ich nigdy, ponieważ mieszkają daleko! Nie słuchajcie ich wcale. Błagam was, nie słuchajcie! Powiedzcie im, że chcecie pozostać ze mną i że ja was wyleczę. Nic lepszego dać wam nie mogę, i po to przyjechałam tu przecież z za morza... Usłyszałam o nędzy waszej, tam, daleko, daleko, i serce moje przemówiło głośno, aby śpieszyć wam na ratunek... Czyżbym przybyła po to, aby wam źle czynić? Wróćcie na łóżka wasze, siostry moje, i rozkażcie tym szaleńcom, aby wrócili do domów.

Szmer wahania, niepewności zapanował w sali; kobiety były niezdecydowane, ale człowiek z twarzą skaleczoną zaczął krzyczeć gwałtownie.

Pustelnik, jakby ocucony ze snu tem stanowczem wezwaniem, rzucił potok przekleństw, groźb, bluźnierstw i oskarżeń. Porwany jego głosem, tłum zwrócił się ku drzwiom; reszta ustąpić musiała przemocy, uległa fizycznemu naciskowi. Napróżno Kasia, w imię rozsądku, korzyści i serca, odwoływała się jeszcze do kobiet, przekładała, błagała, by zostały. Nic nie pomagało. Niektóre szły z płaczem, a wszystkie powtarzały, że zostać nie mogą, gdyż słuchać muszą mężczyzn.

Sale szpitalne wyludniały się powoli, kapłan na środku głównego dziedzińca śpiewał swój psalm dziwaczny, tańcząc jednocześnie; fale jaskrawych sukien spływały ze schodów aż na ulicę, i Kasia ujrzała ostatnią z chorych w tym smutnym pochodzie, znikającą z innymi w blaskach południa.

Pozostała z nią tylko jedna kobieta, ta właśnie z pustyni.

Młoda lekarka okiem osłupiałem patrzała na pusty szpital.

XX.

— Czy panna Sheriff wyda mi jakie rozkazy? — zapytał Dhunpat-Rai ze wschodnim prawdziwie spokojem, patrząc na Kasię, która wzburzona wspierała się na ramieniu wiernej przyjaciółki.

Kasia bez słowa potrząsnęła głową.

— To szkoda — odparł tonem poufałym. — Wszystko to smutne skutki fanatyzmu religijnego, ciemnoty i nietolerancyi. Podobne wypadki bywały już nieraz z najrozmaitszych powodów: razu jednego poszło o proszki lecznicze, drugi raz padło ciężkie podejrzenie, że waselina jest tłuszczem krowy; to znowu szklanki z oznaczonemi uncyami wzięto za święte naczynia... Nigdy jednakże nie stało się to tak gwałtownie i z taką jednomyślnością, jak teraz. Myślę też, że tym razem nie powrócą prędko. Całe szczęście — dodał z przyjemnym uśmiechem — że jestem urzędnikiem etatowym, więc nie tracę przez to pensyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.**
Papier z fabryki Braci Fiałkowskich.
Z drukarni E. Winiarza